EPOKA

ROK III. Warszawa, 19 lipca 1936 r. Nr. 4 (69)

Treść numeru:

NIKCZEMNE METODY

Od czasu odzyskania niepodległości prasa w Polsce nigdy chyba nie była areną takiego rozpasania obskurantyzmu, złej woli, perfidji i szalbierstwa, jak obecnie; i nigdy organizatorzy różnych naganek nie posługiwali się tak liczną i w bezwzględnym posłuchu wytresowaną sforą piesków redakcyjnych, gotowych na skinienie harapem dojeżdżaczy rozpocząć szczucie.

Te, hańbiące zawód dziennikarski indywidua, gotowe w swej lokajskiej gorliwości do „patrjotycznych" wyczynów w stylu „powitania" przez faszystowskich dzikusów w Lidze Narodów pokonanego władcy Abisynji, stosują w akcji swej stały megalomański figiel, na którym przeciętny czytelnik gazety nie poznaje się. To nabieranie czytelnika ma uświęconą już maskę. Gdy pan X lub Y z personelu redakcyjnego usłyszy na mieście lub przeczyta coś, co nie idzie po generalnej linji reprezentowanych przez jego dziennik interesów, w kwadrans potem już pisze o danym fakcie lub enuncjacji: „oburzona do żywego opinja publiczna" — i nie bez satysfakcji wyobraża sobie, jak nazajutrz rano, niejeden prostoduszny czytelnik da się zbujać i nie domyśli się, że ów anonimowy informator nie jest wyrazicielem niczyjej opinji, nawet własnej.

Cyniczny najmita poprostu służy swym chlebodawcom, a zarazem urasta we własnem przekonaniu na figurę, odgrywającą w społeczeństwie wybitną rolę.

Czy występuje bezimiennie czy imiennie, nieuczciwy dziennikarz ze szczególnem upodobaniem pełni funkcje fałszywego informatora.

Zrzadka przez nieuctwo lub brak orjentacji, najczęściej przez perfidję, którą on nazywa „polityką".

Weźmy z ostatnich czasów parę jaskrawszych przykładów obełgiwania ogółu — takich, z których wyraźnie przeziera „system".

Od czasu zwycięstwa frontu ludowego w Hiszpanji i we Francji rozpoczęła się orgja szkalowania organów lewicy społecznej w Polsce, zapomocą popularnego oszczerstwa: „na usługach kominternu", albo dla odmiany „subwencjonowane przez obcą agenturę". Istnieje nawet specjalne pisemko, prowadzące ewidencję organów „czerwonego frontu" w Polsce, nazywa się „Merkurjusz Polski" i na listę napiętnowanych wprowadziło i „Epokę", uważaną zarazem przez pewne sfery za pismo „masońskie".

Jak te sprzeczne ze sobą cechy pogodzić — nie znajdzie odpowiedzi człowiek myślący.

Ale co to obchodzi *normalnego* polskiego półgłupka z r. 1936?

Półgłupek pisze np. w dużym dzienniku, że aresztowano w Warszawie na zebraniu tylu a tylu komunistów *„w związku z komunistycznym kongresem pokojowym w Londynie"*. Pisze to w podtytule dziennikarskiej wiadomości z miasta.

Nikomu w redakcji, liczącej w swym personelu i poważnych dziennikarzy, nie przyjdzie do głowy wykreślić fałszywy podtytuł autentycznej wiadomości i pouczyć półgłupka, że do głównych organizatorów światowego kongresu pokojowego w Londynie należą tacy „komuniści" jak arcybiskup Yorcku, lord Robert Cecil, Edouard Herriot, prezydent Republiki Czechosłowackiej, Benesz i... przedstawiciele 35 dotąd państw Europy, Azji, Afryki i Ameryki. Przygotowaną przez reprezentantów narodów pokojowych manifestację przeciw wojnie dyskredytuje się zgóry w oczach zdezorjentowanego czytelnika polskiego, jakgdyby Polska w swej polityce miała zamiar iść w ślady tych dwóch mocarstw europejskich, które wojny zaborczej wyrzekać się nie myślą i na kongresie reprezentowane nie będą (Niemcy i Włochy).

Poco prasa wprowadza w błąd polską opinję publiczną?

Czy to jest właściwa droga propagowania obronności kraju?

Czy Francja, gotując się do obrony (i Anglja), wyrzekają się dlatego udziału we wrześniowym kongresie londyńskim?

Dwa państwa — inicjatorzy zjazdu.

Psychoza wietrzenia w *każdej akcji demokratycznej* komunizmu, zrodzona w mózgach kleru, obszarnictwa i potentatów przemysłu, otrzymuje sankcję i w prasie, oficjalnie strzegącej ustroju demokratycznego.

Żerują na tem „nastawieniu" dziennikarskie mąciwody.

Doszło do tego, że dziś się już nie rozróżnia radykałów, socjalistów i komunistów. Perfidny informator prasowy udaje, że nie wie, dajmy na to, o zasadniczych różnicach doktryny, programu i taktyki P. P. S. i zwolenników sowietów. Wszystko się miesza w jednym garnku i nakleja nań czerwoną etykietę z sierpem i młotem.

Przyjeżdża do Polski kilku działaczy lewicowych z Francji i Belgji. Bastian, członek Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawników, adwokat z Brukseli, interesuje się ekscesami antyżydowskiemi w Polsce, więc — komunista! Jest pani Morand z redakcji nie „Humanité", lecz radykalnego tygodnika paryskiego „Vendredi". Jest z nimi młody lekarz, dr. Painlevé, syn znakomitego matematyka i b. premjera Francji, jeden z najczynniejszych członków Międzynarodowego Stow. Opieki nad matką i dzieckiem, propagator kształcenia dzieci przez filmy (sam w tym celu robi zdjęcia fauny dna morskiego w skafandrze), przemiły, dzielny człowiek — interesuje się bardzo głośnym filmem „Droga Młodych". Wszyscy troje pozatem gorąco polecają inteligencji lewicowej dojrzałą w Paryżu sprawę wzniesienia pomnika Jarosławowi Dąbrowskiemu i Waleremu Wróblewskiemu, bohaterom walki o wolność ludu paryskiego w roku 1871, postaciom czczonym przez kilka pokoleń demokracji polskiej.

I jak ich przyjmuje prasa codzienna wolnej Polski?

Poważniejsze pisma milczą. Brukowce, t. zw. „narodowe" wypuszczają na przybyłych swych kundysów z ujadaniem: „Zżydziali komuniści! Podżegacze! Wynoście się z Polski!".

I znowu hebes jeden z drugim powołuje się na „oburzoną do żywego opinję publiczną".

Bo przyjechali najemnicy „agentury obcej"!

Słyszałem przecie niedawno na pewnem zebraniu towarzysko-politycznem, jak dziarski bęcwał i poseł sejmowy, wywodził grupie skapcaniałych, wycofanych ostatnio z obiegu politykantów, ile w Polsce działa agentur obcych: „Państwo nie wiecie, ale ja wiem, mam na to dowody, że prócz moskiewskiej i berlińskiej, istnieje agentura czeska — ona utrzymuje Witosa (sic!) — i nawet francuska!"

Czekałem jeszcze na peruwjańską. Importowane guano.

Niepotrzebne. Wystarczy krajowe, choćby takie, jakie po tragicznych kwietniowych wypadkach lwowskich, tak mądrze i rzetelnie scharakteryzowanych przez b. premjera Bartla, usadził na łamach „Dziennika Polskiego" niejaki Klaudjusz Hrabyk, pisząc zaraz nazajutrz, 15 kwietnia, że „dobrze opłacany z zagranicy element podniecił ulicę lwowską".

Jeszcze jeden narodowiec — morowiec!

Głupota, czy perfidja?

Ani jedno, ani drugie wyłącznie.

Coś pośredniego: swoiście pojęta „propaganda antykomunistyczna".

Wacław Rogowicz.

SEKWESTRATOR I KWESTARZ

Jaka jest różnica między datkiem a podatkiem? Odpowiedź nie jest trudna: taka, jaka zachodzi między egzekutorem a kwestarzem, między nakazem płatniczym a listą składkową. Egzekutor upomina i grozi, kwestarz prosi, kwestarka zachęca uśmiechem — różnica jest więc w praktyce i w teorji, dosyć znaczna, ale i ona zaczyna się zacierać. Żyjemy w okresie przekształcania się i mieszania pojęć. A zwłaszcza nasz kraj odznacza się niechęcią do sprecyzowanych doktryn, form i określeń. Może się więc zdarzyć, że egzekutor łagodnieje — zwłaszcza w stosunku do możnych tego świata, a kwestarz poczyna być groźnym i stanowczym — zwłaszcza wobec maluczkich i tych, którzy nie umieją się bronić.

Narazie brzmi to wszystko zabawnie, ale tkwi w tem problem dla gospodarstwa społecznego, polityki, stosunków społecznych doniosły i zasadniczy, potrącający niemal o wszystkie ważniejsze zagadnienia chwili. Nie będziemy się tu bawili w filozoficzne dociekania, czem jest państwo i czem ma być w swoim kształcie ostatecznym, w stosunku do swoich istotnych celów. Zatrzymajmy się po drodze na gruncie praktyki życiowej i zadowólmy się skonstatowaniem, że jest ono organizacją na danem terytorjum przymusową, spełniającą dla dobra wszystkich pewną ilość ogólnych i zasadniczych funkcyj.

Państwo ściąga podatki, powołuje do wojska, karze za krnąbrność i nieposłuszeństwo — a wzamian za to ma pilnować bezpieczeństwa na zewnątrz i wewnątrz, ma troszczyć się o oświatę, zdrowotność, koleje, drogi i t. d. Mieści się w tem pewnego rodzaju bilans praw i obowiązków, przymusu i korzyści, bilans, który musi być mniejwięcej wyrównany, aby można było powiedzieć, że państwo spełnia swoje obowiązki i że obywatele mogą być z niego zadowoleni — a przecież zadowolenie obywateli jest gwarancją potęgi i trwałości państwa. Zastrzegam się raz jeszcze, że w definicji nie wychodzę poza przeciętną praktykę, że nie wyciągam wniosków ostatecznych i że wobec tego zarzut przesadnego, przestarzałego liberalizmu w określeniu państwa, byłby w stosunku do tych wywodów conajmniej przedwczesny.

Państwo powinno z normalnego budżetu opędzać normalne swoje wydatki i wywiązywać się w ten sposób ze swoich obowiązków. Tylko na platformie jednolitego i przejrzystego budżetu można wcielać w życie doktryny społeczne i polityczne, np. pociągać do odpowiednich świadczeń bogatych, można szeregować odpowiednio poszczególne pozycje według ich znaczenia i użyteczności, da się utrzymać w równowadze wydatki personalne i rzeczowe. Każdy obywatel, jako równoczesny wytwórca i spożywca budżetu, staje się jego krytykiem bardzo kompetentnym,choćby nawet nie miał fachowego wykształcenia, wie bowiem i odczuwa, ile płaci i co za to otrzymuje. Wystarczy, aby porównał sumę na nakazie płatniczym, uwzględnił, ile w cenach rozmaitych artykułów mieści się ukrytych podatków, subwencyj i t. p. i zestawił to ze stanem dróg, gęstością i cenami kolei, widokiem i kosztami szkół, że uwzględnimy tylko momenty najważniejsze. Państwo funkcjonujące prawidłowo i rządzone umiejętnie bierze na to, aby dawać, stanowi formę organizacji, wznoszącą zrzeszonych obywateli na wyższy poziom zbiorowego życia.

Na te cele wystarczyć musi podatek i tak bywa we wszystkich państwach, mających odpowiednie tradycje i praktykę. Anglik czy Francuz nie składają datków np. na budowę dróg, bo na to jest budżet, rząd i podatki. U nas odstępuje się coraz częściej i chętniej od tej zasady. Normalny budżet jest zbyt ciężki na barki olbrzymiej większości społeczeństwa, która nie umie się bronić, nie zna się na spekulacji, nie ukrywa kapitałów i złota, ani nie wywozi ich zagranicę, bo jest tych dóbr pozbawiona. Budżetu normalnego nie można podwyższyć, używa się więc dróg pośrednich, ucieka się do metod dobrowolności, podniecanej, kontrolowanej, a wreszcie przymusowej.

Pożyczki ostatnie miały charakter przymusowy, bo ściągano je przedewszystkiem z uposażeń, jako niedających się ukryć, gdy tymczasem wielkie dochody zawsze mają w zapasie czapkę niewidkę i umieją się ulatniać. Ponieważ budżet nie może zaspokoić zasadniczych potrzeb, tworzy się więc ze składek budżety specjalne, nibyto dobrowolne — na drogi, szkoły, bezrobotnych. Podatnik nie ma dostępu do normalnego budżetu, a o ile chce coś uzyskać, to musi dodatkowo za to zapłacić, względnie popracować.

Ta podwójna gospodarka, te podwójne rachunki i rachuby wykrzywiają i paczą wzajemny stosunek obywatela i państwa. Sumy wydawane na cele publiczne, dzielą się w ten sposób na dwie grupy o odmiennym hierarchicznym walorze. Pierwsza pokrywana jest z podatków, a więc jest mniejwięcej trwała i zagwarantowana, druga zaś z datków, a więc siłą rzeczy jest bardziej lotna, niepewna, nieustabilizowana. I tak się dzieje, że w grupie pierwszej mieszczą się pozycje wybitnie luksusowe, wysokie pensje, dodatki, podróże, reprezentacje, gratyfikacje, fundusze dyspozycyjne — a tymczasem grupa niepewna ma współdziałać w zaspakajaniu potrzeb tak pierwszorzędnych, jak oświata, komunikacja i t. d.

Ten podział na grupy jest symboliczny, dowodzi, że gospodarka państwowa znajduje się na złej drodze. Wydaje się bardzo wiele na rzeczy niepotrzebne i wskutek tego niema pieniędzy na najbardziej niezbędne wydatki. W samem tem stwierdzeniu mieści się surowy sąd krytyczny treści zarówno ekonomicznej, jak społecznej i politycznej. Schodzimy z drogi utartej i wypróbowanej, używamy półśrodków, niejednokrotnie zgoła niepożądanych, a to tylko w tym celu, aby nie zdobyć się na istotną decyzję, aby odwrócić oczy od niepokojącej sytuacji.

Kręcimy się w kółko, upajamy krótkotrwałym haszyszem haseł i frazesów, nie umiemy rozwiązać sytuacji, przeciwnie, pogarszamy ją, gdyż używamy środków nieodpowiednich.

Podatek pozostał podatkiem, a równocześnie przybiera maskę datku. Możnaby przypuścić, oceniając rzeczy powierzchownie, że żyjemy równocześnie w okresie ciężkiego etatyzmu — i poczciwej, obywatelskiej dobrowolności. A równocześnie moglibyśmy sobie zadać pytanie, czy wskrzeszone państwo nie jest snem i czy nie zbudziliśmy się na nowo do jawy przedwojennej, kiedyto zbierano łupy z pomarańcz, korki i znaczki pocztowe na oświatę, na tajne organizacje wojskowe, na tajny skarb narodowy — i t. d.

Brak decyzji i wyraźnych form występuje we wszystkich dziedzinach naszego życia. Komunizm i faszyzm wojują na terenie naszej ideologji politycznej. Równy bezład panuje w dziedzinie gospodarki społecznej i ekonomicznej. Nie umiemy stworzyć metody własnej, ani zdecydować na jakąś przejętą z zewnątrz, ale próbujemy kojarzyć elementy sprzeczne, żenić ogień z wodą — wiadomo z jakim wynikiem.

Rezultat polityczny i gospodarczy tego rodzaju postępowania jest widoczny. Wyniki społeczne są równie fatalne. Droga do pokoju urzędnika, do izby robotnika i chłopa jest najbardziej wydeptana — i to zarówno przez egzekutora, jak i przez kwestarza.

A pod pewnym względem obywatelski kwestarz jest gorszy od urzędowego egzekutora. Egzekutor, gdy mu każą, wejdzie do pałacu i do dworu. Kwestarz, zastawszy tam drzwi zamknięte, ukłoni się — i wróci do urzędnika, robotnika i chłopa, z czego wynika morał, że łagodny datek bywa czasem przykrzejszy i bardziej nieobliczalny od surowego podatku.

Włodzimierz Jampolski.

ODGŁOSY

SYMBOLICZNE SCENY

Mowę negusa na zgromadzeniu Ligi Narodów, pełną godności i dramatycznego napięcia, przerwali dziennikarze włoscy śmiechem i gwizdaniem. Rumuński minister spraw zagranicznych, Titulescu, zawołał: „Wyrzucić tych dzikusów"!

Taka więc scena: zwyciężony cesarz Abisynji, przedstawiciel plemion niecywilizowanych, przemawia na forum Ligi Narodów z powagą i godnością, powołuje się na statut Ligi i zobowiązania 52 państw, maluje wstrząsający obraz spustoszenia jego kraju, wzywa do poszanowania prawa i niepodległości narodów, prosi „Boga Wszechmogącego, by oszczędził narodom słabo uzbrojonym tych mąk i katuszy", jakich doznał jego lud, a przedstawiciele cywilizacji europejskiej — hałasują, śmieją się i gwiżdżą, zasługując sobie na miano dzikusów.

Pouczająca, pełna wymowy, symboliczna scena...

***

Prezydent senatu gdańskiego, Greiser, pokazał język korespondentom pism, uczynił nadto gest nieprzyzwoity pod adresem loży dziennikarskiej, w której wzbudził wesołość przez kilkanaście pozdrowień hitlerowskich, kiedy żegnał się z członkami Rady. Po „geście" Greisera powstała wrzawa. Min. Eden oświadczył: „W interesie naszej godności najlepiej jest zignorować tego rodzaju zachowanie się".

Trzeba dodać, że dziś to, co się nie podoba i budzić tam musi zdumienie i zgorszenie — w środowiskach kulturalnych, w Niemczech hitlerowskich wywołuje najgorętszy aplauz. To też przemówienie i zachowanie się Greisera w Genewie wzmocni jego stanowisko w Gdańsku. Mówił na użytek wewnętrzny, zachował się po chamsku dla przyjemności swoich kamratów. Będą mu wdzięczni za to, co w świecie kulturalnym wzbudzić może tylko niesmak. Dwa światy, dwa poziomy, wielka przepaść kulturalna...

***

Na zgromadzeniu Ligi Narodów fotograf prasowy z „Prager Presse", Stefan Lux, pozbawił się życia wystrzałem z rewolweru. Pozostawił listy do różnych osobistości i redakcyj pism, protestujące przeciw bezczynności Ligi Narodów wobec prześladowań w Niemczech.

Stefan Lux w ciągu 20 lat mieszkał w Berlinie, był w swoim czasie współpracownikiem radykalnego tygodnika „Weltbuehne". Po przewrocie hitlerowskim musiał uciekać z Niemiec.

W prasie całego świata (z wyjątkiem, oczywiście, prasy w Niemczech) zanotowano, że samobójstwo to, popełnione na sali obrad Ligi Narodów, wywołało „wstrząsające wrażenie".

Zanotujmy z kolei, że to „wstrząsające wrażenie" trwało kilkanaście minut, potem wszystko wróciło do normalnego biegu rzeczy nienormalnych.

Kamienne sumienie politycznego świata nie cierpiało zbyt długo...

J. W.



ICH BOHATER

Napad Doboszyńskiego na Myślenice nie został w organach Stronnictwa Narodowego potępiony. Pisma tego obozu zajmują się społeczno-psychologiczną analizą wyczynu Doboszyńskiego, upatrując tu jakiś fatalistyczny bieg rzeczy, jakby nieuchronnie wynikający z dzisiejszych warunków politycznych w Polsce. W mniemaniu tych pism Doboszyński dał wyraz desperacji narodowców, pchnięty był do tego czynu przez uczuciową „konieczność", przez nieopanowaną reakcję „narodową".

Nawet tygodnik Prosto z Mostu, nienależący do oficjalnych organów endecji, zajął zgodne z nią stanowisko w tej sprawie. P. Stanisław Piasecki pisze tak:

„Nie sposób bez zdania sobie sprawy z sylwetki duchowej Doboszyńskiego usiłować rozwikłać tajemnicę psychologiczną wystąpienia myślenickiego. Doboszyński — to typ mistyka czynnego. Głosił swą prawdę w książkach, artykułach, wystąpieniach publicznych. Walczył słowem o ideał — jak go nazywa w „Gospodarce Narodowej" — Godziwej Polski. Aż któregoś dnia musiał się (podkr. nasze) w nim zrodzić imperatyw, że o ten ideał trzeba walczyć czynem, że już dalej czekać nie można"...

„Musiał się w nim zrodzić"... Więc — konieczność, imperatyw, nie mogło być inaczej...

Autor „Gospodarki Narodowej", opierając swój program społeczno-gospodarczy na nauce św. Tomasza z Akwinu i wzywający do budowania godziwej Polski, „musiał" rozpocząć walkę czynem i... urządził napad na Myślenice!...

Doprawdy, nie posądzaliśmy dotychczas p. Piaseckiego o to, że zdobędzie się na taki tok rozumowania.

Z większym jeszcze szacunkiem, niż p. Piasecki, ba! z wyraźną sympatją, nawet ze źle hamowanym entuzjazmem piszą o Doboszyńskim różne dzienniki endeckie. Słusznie Gazeta Polska stwierdza tu analogję z niewiadomszczyzną.

Więc to tak: czyn nieprzytomnego warchoła ma być wyrazem zbuntowanego sumienia narodowego! W stosunku prasy endeckiej do osoby Doboszyńskiego i jego „czynu" mamy tysiączny i pierwszy dowód, jaka jest odpowiedzialność polityczna tego obozu. Ani słowa potępienia, ani słowa protestu przeciw moralnie potwornej awanturze. Znowu mają „bohatera"! Znowu demonstrują swoją „praworządność", o którą wciąż wołają! I znowu szerzą zarazę moralną.

Wystawiają sobie też świadectwo należyte w opinji wszystkich przytomnych ludzi w Polsce: świadectwo krańcowej, anarchicznej depprawacji.

MASKARADA

Po napadzie na Myślenice napisano w *Warszawskim Dzienniku Narodowym*:

„Polska jest chora. Odbywają się w kraju naszym procesy społeczne, które przejmują do głębi ludzi myślących o przyszłości narodu i wrażliwych na to wszystko, co przyszłości tej zagraża, a więc na wydobywanie się na powierzchnię elementów najgorszych, na odwoływanie się do najniższych instynktów, na wykorzystywanie owej sytuacji dla celów osobistych, na

poniewieranie człowiekiem, jego godnością, jego najświętszemi uczuciami"...

Przecieramy oczy... Na łamach... *Warszawskiego Dziennika Narodowego (!)* — skarga na „odwoływanie się do najniższych instynktów, na poniewieranie człowiekiem!...

Któż to nad tem boleje? Demagodzy najgorszego gatunku, siewcy nienawiści rasowej, religijnej, narodowościowej, grający zawsze i nieustannie na instynktach najniższych, często wręcz zbrodniczych. Ci ludzie ubolewają nad poniewieraniem — godnością człowieka...

Cóż to za maskarada!

«NARODOWCY» I POLACY

Czytamy w *Kurjerze Porannym:*

„Jednem z pojęć najbardziej wieloznacznych i najmniej sprecyzowanych jest w naszym słowniku politycznym pojęcie: „narodowy". Słowo to przywłaszczone przez partję polityczną najmniejsze chyba mającą doń prawo — przez endecję z jej wszelkiemi odrostami i przychówkami — stało się narzędziem politycznego szalbierstwa, dokonywanego w stosunku do najmniej uświadomionych mas, oraz politycznego szantażu.

Umiejętne gubienie cudzysłowu przy tem samozwańczem określeniu ma stwarzać pozory, że tylko endecja jest narodowa (bez cudzysłowu), a więc, że ona właściwie istotnie reprezentuje naród. Używając raz tego terminu na określenie zakresu pojęcia „endecja", kiedyindziej na określenie pojęcia „naród" nasi endecy chcą, przy pomocy tego prymitywnego oszustwa w logicznem rozumowaniu, wmówić w swych zwolenników, że endecja to naród i co narodowe to endeckie. Chcą w ten sposób zagarnąć sobie i utrwalić monopol na słowo: „narodowy".

Oczywiście, szalbierstwo to, jak każde inne szalbierstwo, ma krótkie nogi i niedaleko prowadzi. Oto coraz częściej życie przeciwstawia przywłaszczonemu przez endeków przymiotnikowi „narodowy" — przymiotnik „polski". „Narodowcy" walczą już bowiem nietylko z Żydami, ale i z Polakami, z polskim rządem, z polskiem społeczeństwem, z polską kulturą.

Coraz częściej spotykamy jaskrawe objawy walki prowadzonej przez „stronnictwo narodowe" ze społeczeństwem polskiem.

Z tego zaczynają sobie już zdawać sprawę i najszersze, najmniej uświadomione masy, że między pojęciem „narodowy", przywłaszczonem przez endeków a pojęciem: polski, otwiera się przepaść coraz większa, że „narodowiec" (w cudzysłowie) staje się synonimem warchoła i defetysty, rokoszanina, gotowego w imię wierności dla swego „narodowego" stronnictwa, zapominać o obowiązkach swych dla Polski jako Polaka".

PO WYROKU W PROCESIE PRZYTYCKIM

Mieczysław Niedziałkowski pisze w „Robotniku":

„Z procesu przytyckiego uczyniono — wbrew wszelkiej logice i wbrew elementarnemu poczuciu państwowemu — rozprawę generalną pomiędzy „mozaistami" a „chrześcijanami", „Żydami" a „Polakami", „semitami" i „aryjczykami". Sędziowie rozstrzygali, o ile sądzić wolno, w płaszczyźnie zgoła obcej wszelkim pojęciom prawnym Polski Niepodległej, w atmosferze całkiem nieprawdopodobnej. Spośród przedstawicieli stron mowy takich ludzi, jak Leon Berenson albo Wacław Szumański, wzniosły się, oczywiście, do poziomu stanowiska państwowego; wystąpienia adwokatów „narodowych" stanowiły powtarzanie „teorji" hitlerowskiej w formie — doprawdy — najbardziej prymitywnej. W rezultacie otrzymaliśmy: „triumf" obozu „narodowego", który dawał temu „triumfowi" wyraz hałaśliwie a histerycznie, oraz „poczucie klęski" w bardzo szerokich kołach społeczeństwa żydowskiego.

„Sąd Apelacyjny będzie mógł zapewne rozważyć całą sytuację i cały przebieg zdarzeń o wiele spokojniej i o wiele... rzeczowiej.

„Dla nas, dla polskiego ruchu socjalistycznego, wchodzą tu w grę trzy punkty istotne:

1) nie możemy przyjąć jakiejś bezmyślnej zasady „odpowiedzialności zbiorowej"; w Mińsku Mazowieckim Żyd zastrzelił wachmistrza; „wobec tego" następuje dosłownie pogrom Żydów wogóle, rozbijanie ich sklepów i mieszkań, a gdzieś w dalekiem Zagłębiu Dąbrowskiem, następuje afront z tego powodu pod adresem... żydowskiej drużyny sportowej; przecież to jest przejmowanie żywcem „pojęć moralno-prawnych" z okresu wojny domowej w Rosji (lata 1918—1920) i z dzisiejszej praktyki „Trzeciej Rzeszy"; typowe... „obce agentury"... psychiczne;

2) musimy przeciwstawić się najbezwzględniej próbom stwarzania w Polsce stanu „permanentnej" (stałej) wojny domowej rasowo-wyznaniowo-narodowościowej; jest to — bez żadnej przesady — systematyczne rozsadzanie Państwa Polskiego od wewnątrz".

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

„CZASY POGARDY".

André Malraux, autor „Doli Człowieczej", odznaczonej w 1933 r. najpoważniejszą nagrodą Goncourtów,—dziś w świeżo przełożonej książce p.t. „Czasy Pogardy" wznosi się na wyżyny artystycznego piękna. Obrazuje tam Malraux męczeństwo ofiar hitlerowskiego reżymu, zamurowanych w lochach kamiennych celkowego więzienia. Sugestywna siła pisarska Malraux jest tutaj tak wielka, że duszę czytelnika wciąga do samego wnętrza wilgotnych grobów kaźni i wplata w koło moralnych i fizycznych tortur więzionych. „Czasy Pogardy" — to nietylko wizja straszliwej grozy, widziana oczami poety, lecz wycinek tragicznej rzeczywistości, wspaniale oddany w natchnieniu przez Malraux, w wyrazach, nabrzmiałych bólem i buntem.

Ale właściwie dla nas, byłych „poddanych" cara, „Czasy Pogardy" nie stanowią żadnego odkrycia ani objawienia. Dramat Kassnera, bohatera Malraux, jako obraz martyrologji za wolność jest niejako zwierciadłem męczeństwa polskiej wolności, które było motywem polskiego życia, przewijającym się czerwoną nicią przez cały czas pogardy w wieku niewoli. Dramat Kassnera jest wierną reprodukcją, odbitką jedną z miljona dramatów, których świadkami były mury twierdz, więzień i kazamatów pod rządami Murawjewa - Wieszatiela, Nowosilcowa, Trepowa, Pobiedonoscewa, Hurki, Plewego i całej czerni innych tyranów i dyktatorów. Nazwisko każdego z tych satrapów budzi zawsze wyobrażenia upiorów, które w cza-

sach pogardy nękały polskie życie, podobnie jak dziś niektóre nazwiska w Niemczech, we Włoszech, w Austrji, na Węgrzech i gdzieindziej uzmysławiają hańbę teraźniejszości. I w celi Kassnera dławi nas duszne powietrze grozy, w którem szamoce się skuty, nieugięty duch cierpiącego za ideę, tylko że dziś tragizm ten stał się już udziałem tysięcy we wszystkich krajach, wrogich demokracji. Ujarzmienie Kassnera i sponiewieranie człowieczeństwa, splugawienie godności ludzkiej obraża dziś mocniej niż kiedykolwiek cały świat wolności, który w osobistym losie Kassnera widzi rękę wspólnego losu i odczuwa go jak własne cierpienie. W tem świetle nabierają znaczenia słowa Malraux, kiedy mówi, że nie jest trudniej zostać człowiekiem, pogłębiając swą wspólność, niż kultywując swą odmienność: „Wspólność żywi z takąż conajmniej mocą to przez co człowiek jest człowiekiem, to przez co wznosi się ponad siebie, tworzy, wynajduje lub zdobywa swój kształt".

Motyw idei męskiego braterstwa, przewijający się przez „Czasy Pogardy" od pierwszej stronicy do ostatniej, stanowi istotę książki. Malraux w ekstazie współczucia dla cierpień katowanego bojownika idei widzi możność zdobycia wolności przez człowieka, rozumianej jako władanie swojem przeznaczeniem — tylko na drodze braterskiej solidarności, która swoje płodne działanie ujawnia w tragicznych dla jednostek epizodach wspólnej walki.

Odtworzenie „Czasów Pogardy" wymagało nietylko znawstwa francuskiej prozy, ale i osobistego pisarskiego kunsztu, któryby pozwolił oddać w polszczyźnie arcydzieło sugestywności i zwartości stylu Malraux. Wacław Rogowicz, świetny tłumacz Celine'a i Aragona wzniósł się na wysokość zadania, przezwyciężywszy niezwykłe trudności językowe i dał przekład wierny, mieniący się najpiękniejszemi barwami polszczyzny. *St. Brew.*

PRZESZŁOŚĆ SZLACHECKA W TERAŹNIEJSZOŚCI.

Oddzielone małym rozstępem czasu ukazały się na schyłku ubiegłego roku — roku śmierci Marszałka Piłsudskiego — dwie publikacje, poświęcone posępnemu renesansowi, jaki w Polsce obecnej przeżywają ideały szlachecko-ziemiańskie. Pierwsza — to Aleksandra Świętochowskiego „Geneologja teraźniejszości", druga — to Władysława Grabskiego „Idea Polski".

1.

Olgierd Górka, zdając sprawę w jednym z dzienników z książki Świętochowskiego, obszedł się z nią więcej, niż surowo, a nawet stawił ją pod pręgierzem, jako osobliwie odstraszający przykład „złego rewizjonizmu historycznego". Wytknąwszy w książce szereg błędów, polegających na nieznajomości lub zniekształceniu faktów, błędów istotnie dość kompromitujących, krytyk ma zupełną ze swego stanowiska słuszność, gdy odmawia Świętochowskiemu prawa do tytułu rewizjonisty w zakresie obowiązujących poglądów na przeszłość Polski. Górka ma, powtarzam, słuszność ze swego stanowiska, ale stanowisko, które zajął, nie jest słuszne. Świętochowskiemu bowiem, gdy pisał swą książkę, chodziło bynajmniej nie o rewizję poglądów na wiek XVIII, ale o sąd nad teraźniejszością, jak wskazuje przecież sam tytuł książki, o którym Górka, niewiadomo dlaczego, pisze, że jest „niezrozumiały".

Jakto niezrozumiały? Czyż może być coś zrozumialszego, niż chęć doszukiwania się w teraźniejszości ziarn, posianych przez wieki minione? Praca, przedstawiająca dotkliwe braki, jako koncepcja dziejów Polski w wieku XVIII, może jednak być niebezużyteczna, jako komentarz do chwili obecnej, zaczerpnięty z pewnych materjałów przeszłości. I pocóż, zresztą, Świętochowski miałby się kusić o nową koncepcję upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej, skoro dla jego celu wystarczało rzucenie szeregu obrazów, przedstawiających anarchję, zgniliznę i rozkład świata szlacheckiego w dobie, poprzedzającej ów upadek? Tę zaś robotę, która mu była potrzebna, a która dla jego zadań wystarczała, spełnił nienajgorzej. Przyznaje to sam Górka, gdy w „Genealogji teraźniejszości" odnajduje wprawdzie „zły rewizjonizm", ale „rzeczywisty obraz historyczny". „Zaletą tego obrazu — podkreśla surowy krytyk — jest utkanie malowidła z cytatów źródłowych, dobranych z pierwszorzędną jaskrawością i pomysłowością, jakkolwiek wyłącznie z dawnych publikacyj pamiętnikarskich i kronikarskich. Obraz, jaki namalował Świętochowski — dodaje Górka — „przedstawia bezdeń moralnego rozkładu szlachty polskiej XVIII wieku, a przerażający ten obraz, uwzględniający tylko strony ciemne, jest niewątpliwie rzeczywisty, jakkolwiek niepełny".

Gdy więc obraz owej „bezdeni moralnego upadku" podstawimy pod tytuł książki Świętochowskiego, intencja autora stanie się jasna i bezsporna: owa bezdeń upadku jest malowidłem, w którem — jego zdaniem — przeglądać się ma teraźniejszość polska, jak w upiornem zwierciadle. Za przeszłość odpowiada naród szlachecki, za teraźniejszość naród cały. Ale w teraźniejszości naszej ileż znajdziemy ropiejących, a niewygasłych i niewypalonych wrzodów przeszłości? Ile obciążeń, odziedziczonych po tych, którzy byli grabarzami Polski? Ile taborów, pełnych gruzu i pleśni, wlokących się za narodem jeszcze z głębi pozaprzeszłego stulecia? „Rzadko w którym narodzie — pisał swego czasu bogobojny ksiądz Kalinka — mimo klęsk i strasznych odmian, dochowała się, jak u nas, taka przez długie pokolenia jednostajność usposobień i, co się działo w XVII i XVIII stuleciu, to dziś bezmała powtórzyćby się mogło". Te surowe słowa wypowiedziane zostały przed 64 laty, a więc na długo przed odbudowaniem Państwa Polskiego. Autor ich, gdyby żył dzisiaj, u schyłku drugiego dziesięciolecia po odzyskaniu niepodległości, czyby wiele z tych słów swoich zmuszony był odwołać lub zmienić? Świętochowski sądzi, że byłby skłonny raczej ich wymowę potwierdzić i wzmocnić. Faktem jest bowiem, że z utraconej niepodległości przenieśliśmy do niewoli nietkniętą strukturę społeczną, a wraz z nią większość tych cech i przywar, w których tkwiła przyczyna naszej politycznej i moralnej niemocy oraz upadku państwa. Długa, troista niewola — jak słusznie stwierdza Świętochowski — wyleczyła nas wprawdzie z pewnych właściwości ujemnych, inne zaś stłumiła lub złagodziła. ale zato niektóre spotęgowała i dodała nowe. Gdy więc wróciliśmy do niepodległości, w swobodzie rozwinęły się głęboko zakorzenione, nietępione, lecz tylko czasowo powstrzymane w rozwoju pierwiastki rozstrojowe, społecznie chorobotwórcze.

2.

Najważniejszym dowodem, że zło, pod którego ciężarem ugięła się i zawaliła dawna Rzeczypospolita, nie było przezwyciężone przez szlachtę w okresie niewoli, pozostanie to, co wstydem napawa nas po dzień dzisiejszy: fakt, że wszystkie dobrodziejstwa w tym czasie chłopi otrzymali z rąk obcych. Szlachta, która nawet w Polsce podległej zachowała długo wpływ na kształtowanie się stosunków społecznych, dawała chłopom tylko niespełnione obietnice, i to wtenczas jedynie, kiedy fortuny jej znajdowały się w niebezpieczeństwie.

Wolała ona sama żyć pod jarzmem, byle chłopu nie dać wolności i ziemi.

Co zaś głębszą jeszcze przejmować musi zgryzotą Polaka, nieobojętnego na los kraju, to złowroga pochyłość, po której los chłopów potoczył się w wyzwolonej ojczyźnie. Nie minęło na ziemiach polskich lat dwudziestu od skruszenia jarzma obcych, a nad dolą chłopów odżyło i zaciążyło spowrotem fatalne widmo swojskiej rodzimej, przeszłości: pańszczyzna. Ażeby to widmo zarejestrować, nie trzeba go szukać w rewolucyjnych formułach agitacji; dość jest czytać artykuły wstępne w tym samym choćby dzienniku*), który zamieścił feljeton krytyczny Olgierka Górki... „Trzeba raz sobie powiedzieć prawdę — pisał niedawno w tym dzienniku jego naczelny publicysta: — starym szlacheckim obyczajem próbujemy budować nietylko Państwo, do czego mamy prawo, ale nasz przemysł, naszą stopę cywilizacyjną, ba, nawet naszą kulturę na pańszczyźnie. Zmieniły się metody, rzecz została ta sama. Niema różnicy istotnej między batem, co pędził na pole, a taryfą celną, która każe rolnikowi tak samo siódmy pot z siebie wyciskać, aby zupę posolić. To on dźwiga na karkach kartelowe feudalne zamczyska. To, w ostatecznym rachunku, on, grzebiąc się w ziemi, płaci długi, które zaciągaliśmy na potrzebne i niepotrzebne pomysły. To on jest tym ostatnim, który płacić musi za drogi węgiel, za drogi wskutek tego każdy wytwór przemysłu".

W powyższym wywodzie trzeba, oczywiście, dwuznaczne słowo „rolnik" (za którem lubią wstydliwie ukrywać się obszarnicy) zastąpić słowem prostszem — chłop. Z tą drobną poprawką rzecz nabiera kapitalnej wymowy i rozstrzyga wszelkie wątpliwości co do sposobu, w jaki należy rozumieć, w naszych warunkach, genealogję teraźniejszości. Jakże bowiem nie dociekać tej genealogji, skoro ona właśnie tłumaczy pochodzenie najzłośliwszej tyranji, jaką przeszłość nasza sprawuje nad naszym dniem dzisiejszym; tyranji, która, jak polip, wznosi się z dna zastarzałej struktury społecznej; ubezwładnia i wysysa żywe siły narodu, zawarte w masach chłopskich.

3.

Znane są próby adwokatury historycznej, usiłujące przeszłość dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej usprawiedliwić przez wynajdywanie w objawach jej rozkładu podobieństwa z rozkładem i nawet gangreną moralną innych państw i rządów oraz warstw możnowładczych, na których rządy owe się opierały.

*) „Gazeta Polska".

Wszystkie te próby są daremne. Cóż z tego, że, naprzykład, przekupstwa zdarzały się wśród polityków i dyplomatów całej Europy Zachodniej wieku XVIII? Tak, zdarzały się w różnych krajach. Ale w Polsce dość było przekupić jednego posła, aby wstrzymać całą machinę Państwa. Prawdą jest również i to, że arystokracja na początku w. XVIII była już wszędzie, nietylko w Polsce, klasą przeżytą i zwyrodniałą. Tak, ale niemal wszędzie było ona już odsunięta od monopolu władzy.

Przodownictwo monarchji francuskiej w Europie na czem-że polegało, jeśli nie na tem, że ona najwcześniej pochłonęła feudałów i wyzuła ich z władzy politycznej na rzecz administracji i magistratury państwowej, kontrolowanej przez króla, a rekrutującej się spośród mieszczaństwa? Co zaś do Anglji, to w niej właśnie w wieku XVIII ugruntowała się zasada, że parlament jest parlamentem wprawdzie pewnej klasy społecznej, ale król ma być królem całego narodu.

Polska w tym samym czasie była, w gruncie rzeczy, luźną federacją wielkich latyfundjów, pozbawionych ośrodka władzy i poczucia jeśli nie narodowości, to wspólnej racji stanu. Była oligarchja, o której Szczęsny Potocki — jej typowy przedstawiciel — powiedział: „Jest nas dwustu, którzy moglibyśmy sięgnąć po koronę, ale każdy dałby się w kawałki porąbać, aby kto inny nie siadł przed nim na tronie".

Tak, władcy i książęta europejscy, kardynałowie i papieże, jak przyznaje Świętochowski, nurzali się we krwi i rabunku, ale jednocześnie, poza nimi, organizowało się i pracowało ówczesne młode mieszczaństwo, walcząc o coraz szersze prawa, tworząc kulturę, która miała wartość powszechną. Obok pasorzytnictwa i zbrodni powstawały nauki i sztuki, wspaniałe dzieła poezji, muzyki, architektury, malarstwa, rzeźby, bardzo często popierane i fundowane przez tych samych złoczyńców w koronach monarszych, papieskich i książęcych. Tymczasem nasza historja od połowy wieku XVII aż po owoce Targowicy, które cały ów okres zamknęły i zniszczyły, grzebiąc spóźnione dzieło naprawy, jest pod względem naukowym, artystycznym i kulturalnym prawie zupełnie pusta, zapełniona samowolą możnowładców i kłótniami tłumu szlacheckiego, dbałego jedynie o korzyści osobiste i przywileje stanowe: o bat nad chłopstwem i prawo wyszynku wódki w dworskiej karczmie.

Gdy u nas polowano zaciekle na „zbiegłych poddanych" i wydobywano ich nawet spod habitów zakonnych w klasztorach, ażeby spowrotem zapędzić w niewolę pańszczyzny, Włochów nie raziło to, że papież Grzegorz XIII był mieszczaninem, a Sykstus V w młodości był pastuchem. Naszą historję ostatnich lat 150 przed rozbiorami tworzyli bezpłodni kulturalnie możnowładcy, podległy i żebrzący o ich łaski gmin szlachecki, i uciemiężony, zdziczały, ogłupiały lud wiejski, któremu wraz z mieszczanami zamykano starannie nietylko drzwi i furtki, ale nawet szczeliny, wiodące do oświaty i kultury. Pierwsze słowa przemówiła u nas demokracja dopiero w niewoli, ale przemówiła, niestety, językiem haseł tylko i programów, nie zaś językiem czynów, przełamujących układ społeczny.

Bo, co stwierdzić trzeba z naciskiem, skoro mowa jest o tyranji przeżytków ziemiańsko-szlacheckich, a czego już Świętochowski niestety nam nie powie, bo musiałby wyjrzeć poza horyzont swej klasy, to fakt, że układ sił i stosunków społecznych w Polsce nigdy przełamany nie był. Gdy inne narody zdecydowały się odmienić swój ustrój społeczny, aby zachować Państwo, Polska wolała utracić niepodległość, niż tknąć przywileje władaczy chłopów.

4.

Obrońcy przeszłości, rehabilitując honor dawnej szlachty, wskazują zwykle na prace Komisji Edukacyjnej i na związany z nią przewrót umysłowy, kulminujący w dziele Konstytucji Majowej: nie bez słusznych podstaw upatrują oni w wysiłkach tych godło odrodzenia, które świadczyło o zadatkach lepszej przyszłości. Wszelako, doceniając wpełni te wysiłki, stwierdzić musimy, że były one intencją, która nie oblekła się w ciało. W istocie rzeczy, wyrokiem wydanym na wysiłki odrodzeńcze wieku XVIII-go był tryumf Targowicy i klęska Powstania Kościuszkowskiego. Z wykrętnym żalem ubolewa się zazwyczaj, że twórcy i organizatorzy Komisji Edukacyjnej mieli zamało czasu. Ale czasu zbrakło im dlatego, że pozwolili zwyciężyć Targowicy. Ta zaś ostatnia wystąpiła do walki natychmiast, gdy spostrzegła, że dzieło przewrotu z dziedziny intencyj zejść może w dziedzinę ziszczenia i zagrozić szlachcie utratą władzy nad chłopami.

Znamieniem i klątwą bezradności tych poczynań, które obejmujemy nazwą „przewrotu umysłowego" w wieku XVIII, było to, że od początku był on tylko „przewrotem umysłowym" i nie chciał czy nie mógł być niczem więcej. Nie stał się przewrotem w dziedzinie stosunków społecznych i gospodarczych. Nie przywołał na pomoc i na odsiecz nowych, świeżych sił społecznych, które powinny były stać się jego dźwignią i rękojmią jego powodzenia. Nie dał chłopu polskiemu tego, co miał już współczesny chłop francuski.

Magnaterja polska, zaprzedając się obcym ambasadorom, czyniła jakgdyby wszystko, co mogła, aby przekonać Państwo o tem, ile jest warta. Czyniła wszystko aby pokazać, że wystarcza ją strącić z drzewa Rzeczypospolitej, aby naród doznał ulgi i odetchnął. Ale sprawcy owego „przewrotu", inicjatorzy Komisji Edukacyjnej byli to także magnaci (Ignacy Potocki, Michał Poniatowski, biskup Massalski) lub współpracownicy magnatów. Czyż mogli oni na serjo przeciwstawić się klasie, z której sami pochodzili, lub której zawdzięczali oparcie? Czyż gotowi byli w walce, którą wydała im Targowica, rzucić samych siebie na stos? Do szlachetnego czynu niosła ich myśl niewątpliwie szlachetna. Ale nie żywiołowa potrzeba, nie historyczna konieczność walki na śmierć i życie, walki na jaką zdobyć się może tylko nowa klasa społeczna, sięgająca po nowe człowieczeństwo.

Idee Komisji Edukacyjnej były na swój czas pełne zbawiennej treści. Ale tę nową treść przemycano raczej ukradkiem, pod przebraniem niewinnej i łagodnej formy, niż wprowadzano przebojem, z otwartą przyłbicą, na walkę z przeciwnikiem. Zaledwo też sztandar reformy rozwinięto, już go zwijać, już się cofać z nim musiano pod naporem wstecznictwa i klerykalnej bigoterji. Dlatego to wielki ugór szlachecki nie został zaorany. Ugór chłopski pozostał nietknięty. I dlatego po 20 latach od założenia Komisji, Kościuszko — gdy należało ruszyć masy — nie miał się do kogo odwołać i padł pod ciężarem losu, który przypieczętował los Rzeczypospolitej. A przecież 20 lat działania nowego systemu wychowawczego to — dwa szkolne pokolenia, dwie dekady lat, z których każda wydać powinnaby nową formację umysłową. Niestety, tego całego przewrotu, a raczej rozruchu umysłowego, starczyło na wiatyk dla umierającej Rzeczypospolitej. Nie starczyło, aby umierającą do życia przywrócić. Rozruch wszczął się w łonie jednej klasy i w łonie tej jednej klasy zamarł, nim zdążył rozsadzić jej skostniałe ramy.

5.

Tak wygląda przeszłość magnacka i szlachecko-ziemiańska, tak wygląda tradycja klasy, która dziś w postaci obszarnika, skoligaconego z finansjerą, a wspartego o wyższą administrację państwową pragnęłaby znowu nadawać ton życiu publicznemu w Polsce.

Jakże się stało, jakże to stać się mogło, że ziemiaństwo, reprezentujące nikłe kilkanaście tysięcy rodzin, skupia wciąż w swoich rękach obszary, mogące dać warsztaty pracy, a przedewszystkiem podstawę godności ludzkiej miljonom drobnych rolników?

Czem się dzieje, że klasa ta, przez swój egoizm stanowy przegrawszy wszystkie trzy powstania, przegrawszy zarazem wszystkie szanse patrjotyzmu i uczciwości wobec ludu, wysunęła się w nowej Rzeczypospolitej na jedną z pierwszych pozycyj państwowych?

Odpowiedź na to pytanie daje nam druga z książek, wymienionych na początku niniejszego artykułu: „Idea Polski" Władysława Grabskiego. Postaramy się ciekawą jej treść wydobyć i oświetlić w artykule następnym.

Civis.

SPRAWA JANA GAWRYSIA.

Z wydanej przez „Echo Społeczne" broszury Józefa Wasowskiego p. t. „Może chcecie poznać prawdę"... przytaczamy, z upoważnienia autora, feljeton o sprawie Jana Gawrysia.

Nigdy mu na myśl nie przyszło, że jego nazwisko dostanie się do gazet. Bo i skądże? Cichy, pracowity żywot szarego człowieka nie nastręcza takich możliwości. Płyną lata za latami, klepie się i klepie swoją biedę, haruje się, jak można, żeby związać koniec z końcem. I o to tylko chodzi: żeby żyć, żeby mieć co jeść i gdzie mieszkać.

Nieciekawe było życie Jana Gawrysia, malarza pokojowego. Ciche, pospolite.

Miał żonę, Julję. Dobrze żyli. Zawsze w zgodzie w przywiązaniu wielkiem. Dwadzieścia lat. Kawał czasu.

I takby sobie oboje zeszli do grobu, ani na bytowanie swoje, ani na swoją śmierć niczyjej nie zwra-

cając uwagi. Takby było do samego końca, gdyby nad Janem Gawrysiem nie zawisła klątwa: bezrobocie.

Stracił pracę. Dwa lata temu. Nie z własnej winy, bo był pracowity. Spocządku tylko się martwił, ale nie rozpaczał. Bo „przecież" ma fach w ręku, więc musi dostać robotę. To się rozumie samo przez się: jak człowiek ma fach w ręku, chce i umie pracować, to zarobek znaleźć musi...

Ale jakoś mijał tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, a tu nic, roboty niema. Zaczęła się zwykła kolej rzeczy: sprzedawanie gratów. Jak będzie praca, to się potem znowu kupi to i owo.

Minął rok. Już nędza prawdziwa. Jeszcze Julja czasem zarobi parę groszy. Tu pranie, tam sprzątanie. Niebawem i to się urwało.

Julja mówi kiedyś:

— Poco takie życie, poco taka męka? Zabijmy się

Jan Gawryś przerażony woła:

— Bój się Boga, co ty mówisz!

Gawryś był religijny, tego grzechu nie chciał. I ciągle wierzył, że się wszystko poprawi.

A Julja wciąż swoje — coraz częściej, coraz częściej...

Już dwa lata bez pracy. Nie było dnia, żeby Julja, teraz jakaś dziwna, niespokojna, z błędnemi oczami, w zamroczeniu jakiemś, nie powtarzała, że to się stać musi, że niema innego sposobu. Jan Gawryś wybiegł na miasto, szukał roboty. I tak codzień poraz niewiadomo który ta rozmowa:

— Zabijmy się.

— Nie mów tak, może już znajdę pracę.

O Julji zaczęli mówić sąsiedzi, że nie jest normalna, że się jej nerwy zepsuły. W oczach widać, że coś w niej pomieszało.

W końcu Jan Gawryś poddał się woli żony. Jeżeli tak, jeżeli takie ma być życie... Sprzedał stół i za te grosze kupił truciznę. Zażyli oboje. Po 15 proszków. Zawsze się wszystkiem sprawiedliwie dzielili. Ale tym razem Jan Gawryś popełnił błąd. Miał silniejszy organizm, a truciznę podzielił na równe części.

Sąsiedzi usłyszeli jęki. Wywalili drzwi. Krzyk. Zamieszanie. Pogotowie. Policja. Zabrali do szpitala. Julja umarła. Jana Gawrysia uratowano.

Więc sprawa w sądzie. Za ułatwienie samobójstwa. Niewolno. Powiedział w sądzie wszystko, jak było. I to, że się całe życie kochali. Wyrok: sześć miesięcy więzienia z zawieszeniem kary, bo były przecież okoliczności łagodzące.

O tej całej sprawie napisano w gazetach. Nazwisko Jana Gawrysia dostało się do prasy nie dlatego, że mu się życie nie udało, bo to nikogo nie obchodzi, ale dlatego, że mu się nie udała śmierć.

OD DZIECIŃSTWA DO MATURY

(ciąg dalszy)

V. W INNYM ŚWIECIE

Poszłam po schodach na pierwsze piętro. Służąca kazała mi się rozebrać z płaszcza w przedpokoju, zamknęła drzwi i poprowadziła za sobą znów o piętro wyżej. „Czy mi nikt tam na dole nie zabierze palta?" — spytałam. — „Tu złodziejów nima. Nikt się na takie łachy nie połaszczy. Zresztą drzwi od schodów zamknęłam", wyjaśniła służąca. Tak, ale może ja bym wzięła palto do mieszkania Lali..." — „Niech panienka nie nudzi — toć i tam też jest jej mieszkanie, a nie czyje. Tylko pierwsze piętro jest państwa starszych, a drugie dzieci i kuchnia" — odburknęła dziewczyna. Przeszłam jeden pokój, drugi, trzeci, wreszcie w czwartym zobaczyłam Lalę. Leżała na niziutkim tapczanie w bieli długiej, koronkowej sukienki (nie wiedziałam wtedy, że to nocna koszula), na wielkich, białych poduszkach pełnych haftów i koronek. Obok tapczanu na małej, niskiej szafeczce, stały astry w wazonie, jakieś buteleczki z lekarstwami, pudełko cukierków, książka i mały, biały niedźwiadek.

Okno było zasłonięte firankami z niciane siatki, haftowanej w śliczne wzory. Naprzeciw tapczanu, przy drugiej ścianie, stało jasne biurko, takie jak u przełożonej w kancelarji. Niedaleko okna duże lustro, złożone z trzech części z dwiema maleńkiemi, w kształcie czworokątnych słupków, szafeczkami (toaleta), zaś przed lustrem jakieś dziwnie powyginane krzesło, bez oparcia, wybijane jasną wzorzystą tkaniną. Co za dziwne sprzęty! Jak tu ładnie! Zapomniałam na chwilę poco tu przyszłam i do kogo, tak olśniły mnie te wspaniałości.

Lala przywitała mnie serdecznie, podziękowała za wieści ze szkoły, porozmawiała ze mną długo, i wreszcie, gdy do pokoju weszła jej matka, zaczęła opowiadać jej wśród głośnego śmiechu, o tem, że ja jeszcze nie widziałam nigdy takich drzwi z urządzeniem elektrycznem i dzwoniłam pół godziny, aż Joasia zeszła na dół i naurągała mi porządnie. Widziałam, jak ją bawił mój lęk o moje palto pozostawione w przedpokoju i moje zdziwienie spowodu tak wielkiego mieszkania.

Było mi bardzo smutno, przykro i obco. Chciałam już iść do siebie do domu. Matka Lali jednak nie puściła mnie, musiałam zjeść z nimi obiad.

Położono przedemną łyżkę dużą, małą, nóż i widelec. Wszystko takie piękne, błyszczące... Talerz głęboki i płytki, z porcelany, w jakieś śliczne blado niebieskie kwiaty. Zupełnie jak na wystawie. Służąca przyniosła wazę, którą mi natychmiast pani W. przysunęła do mego talerza i poprosiła bym nalała sobie zupy. Zorjentowałam się szybko i nie i nie chciałam pierwsza sobie brać z wazy. Dopiero, gdy pani W. zrobiła początek, poszłam w jej ślady. Byłam z siebie zadowolona. Instynktownie wyczuwałam, jak mam się zachować i pierwsze danie poszło gładko. Jadłam powoli tak, jak wszyscy przy stole, od czasu do czasu brałam udział w rozmowie na temat naszych zadań i lekcyj w szkole, uważałam, by łyżkę tak ładnie trzymać, jak moi „współbiesiadnicy". Coprawda, chętnie zjadłabym wówczas i drugą taką porcję tej pysznej pomidorowej zupy, ale przecież to nie wypada prosić o „dolewkę". Zato z drugiem daniem... Było to dla mnie coś niezrozumiałego. Przecież to nie Wielkanoc,

lecz zwykły powszedni czwartek, a tu na stół postawiono wielki półmisek, na którym leży rumiana gęś. Gęś — kiedy ja jadłam taki przysmak? Nie pamiętam. Matka opowiadała mi, że kiedyś, gdy byłam jeszcze małą 3-letnią dziewczynką, ofiarował nam wujek gęś na święta Bożego Narodzenia. Ale już nie pamiętałam, jaki miała wtedy smak ta gęś. A tu, naraz w powszedni dzień gęś będę jadła. Byłam tak bardzo przejęta i wpatrzona w stojący przedemną półmisek, że nie zauważyłam kiedy głębokie westchnienie wydarło mi się z piersi. Natychmiast jednak oprzytomniałam, gdyż poczułam zwrócone na mnie oczy sąsiadów i spostrzegłam dziwny, jakiś przedziwny, pełen litości uśmiech na twarzy Dzidki, młodszej siostry Lali. Połknęłam mocno płynącą mi wciąż do ust ślinę, wyprostowałam się i nałożyłam sobie porcję gęsi i kilka rumianych, pieczonych jabłek na talerz. I teraz dopiero zaczęły się moje tortury. Zobaczyłam jak pani W., Dzidka, Renuś i Mika jedzą... Trzymają widelec w lewej ręce, nóż w prawej i każdy odkrojony kawałek lewą ręką wiodą do ust. Jakto? Lewą ręką? „Śmają"? — Zaczęłam próbować, lecz ja nawet nie umiałam widelcem przytrzymać swojej gąski. Za każdym ruchem noża gęś jak żywa uciekała mi spod widelca na czysty, biały, ślicznie haftowany obrus. Jedna, druga, trzecia tłusta, wstrętna plama naokoło mego nakrycia... Nie, nie mogę, muszę przestać na połykaniu ślinki i wyrzec się smacznego kęska. Wszyscy uśmiechają się naokoło, wreszcie Dzidka proponuje mi, bym wzięła gąskę za kość i obgryzła. Czułam, jak byłam czerwona ze wstydu, było mi gorąco, spociłam się, nie wiedziałam co mam z sobą zrobić. Wreszcie, gdy wszyscy zaczęli nalegać bym tak jadła, jak mi radzi Dzidka, wybąkałam, że... że ja bardzo przepraszam, lecz nie lubię gęsiny.

Zjadłam jabłka, potem coś słodkiego, ciągnącego się za łyżką (kisiel) i wstałam za panią W., powiedziawszy nieśmiało „dziękuję". Gdy przeszłam do pokoju Lali, nie mogłam się poznać w lustrze. Moja cała sukienka była tak dokładnie poplamiona gęsią, że Lala nie mogła wytrzymać i poczęła na cały głos się śmiać. Wiedziała skąd te plamy, bowiem usłużna służąca już zdążyła ją o wszystkim powiadomić. Miałam dość... Odetchnęłam z ulgą, gdy znalazłam się już na ulicy. Tyle wstydu! „Ale to nic, nawet dobrze, że nie umiałam zjeść tej gąski, przynajmniej nie jest mi przykro, że z całej mojej rodziny tylko sama, i to taka duża, gęś jadłam. Napewno byłoby wszystkim w domu przykro, że ja jadłam gęś, pieczoną, rumianą z jabłkami — podczas, gdy oni jedzą kartoflaną zupę. Tak, lepiej, że się właśnie tak stało" — myślałam, idąc do domu. Jednak kupiłam sobie żelazny nożyk i widelec i od tego pamiętnego obiadu uczyłam się jeść, tak, jak tam jedli. Wszyscy się w domu śmieli zemnie, szydzili, przezywali, ale na nikogo nie zważałam, każdą kromkę chleba na śniadanie czy na kolację kładłam na papierze, prężyłam się przy stole na krzesełku i ćwiczyłam dotąd, dokąd nie osądziłam, że jem już wprawnie „śmają" i kroję niby-to mięso niegorzej od Dzidki.

W kilka dni po mojej wizycie u Lali, Lala wróciła do szkoły i zaprosiła mnie znów do siebie. Odmówiłam. Miałam świeżo w pamięci ten nieszczęsny obiad. Lala jednak nalegała, tłumacząc mi, że jej mamusia ma do mnie jakiś interes. Bałam się. Czy chcą mi nawymyślać, że odważyłam się, nie umiejąc jeść, siąść z nimi razem do stołu i zniszczyć im obrus? Przecież to było nie naumyślnie. Moja sukienka też się poplamiła. Nie, ja nie chcę, ja już nigdy nie chcę iść do Lali. Wykręcałam się, jak mogłam korepetycjami, zajęciem, brakiem czasu, wreszcie bólem głowy, lecz Lala była nieugięta. „Przyjdź Stachurka, mamusia tak bardzo cię prosi. Nie wstydź się". Może nie poszłabym, gdyby nie to, że ojciec Lali, wychodząc po lekcjach, zabrał mnie razem z nią do taksówki, mówiąc, że tylko podwiezie mnie kawałek do mojego domu. Tymczasem taksówka zatrzymała się pod domem Lali. Uciekać nie wypada, wstyd, zresztą pan W. trzyma mnie mocno za rękę. Zrezygnowana poszłam na górę. Nie śmiałam jednak podnieść oczu na nikogo. Nienawidziłam w tej chwili całego domu państwa W. tak, jak środowisko, w którem wzrosłam, nie nawidziło „burżujów", „jenteligientów". Lala wprowadziła mnie do gabinetu pana W., dokąd za chwilę i on sam przyszedł z żoną. Wtuliłam się w cień za piecem i patrzyłam uporczywie na czubki swych butów. „Słuchaj Stasiu — odezwała się pani W. — dowiedzieliśmy się, że nie możesz u siebie uczyć się w dzień, jest ci bardzo trudno. Chciałam więc powiedzieć ci, żebyś przychodziła po korepetycjach prosto do nas i uczyła się razem z Lalą. Będzie ci wygodnie i cicho. Nie będziesz wtedy siedziała nocami. Przytem ojciec zawsze Lali pomaga więc i tobie byłoby łatwiej się uczyć. No dobrze, moje dziecko? Lala nasza nie ma wielkiej ochoty do nauki, ale razem z tobą, mam wrażenie, będzie się więcej uczyła i będzie pilniejsza". — „Dziękuję pani" — wykrztusiłam i łzy nie pozwoliły mi nic więcej powiedzieć. Było mi wstyd przed sobą, że tak wstretnie przed chwilą posądzałam tych dobrych ludzi. Było mi niewymownie przykro.

Przychodziłam do Lali codziennie o 5-tej po południu i uczyłyśmy się do wieczora. Potem biegłam do domu i odrabiałam zaległe przez kilka godzin prace w gospodarstwie. Kładłam się jednak spać najpóźniej o 11-ej w nocy. Czułam się wypoczęta i silna. Byłam pierwszą uczennicą w klasie. — „Widzisz mamusiu — mówiłam — córka robotnika pierwszą uczennicą wśród 40".

VI GROM

Rok szkolny przeszedł lekko i szybko. Nikt w domu nie chorował, korepetycje miałam bez przerw, rodzicom było lżej niż lat ubiegłych, płaciłam bowiem co miesiąc sama za mieszkanie zarobionemi przez siebie pieniędzmi. Zdawało mi się, że już zaczynam zbliżać się z całą moją rodziną do... do „tej wyższej sfery".

Przyszedł czerwiec. W ostatnich dniach przed moją cenzurą do klasy szóstej spadł nieoczekiwany grom. Ojciec wrócił z pracy blady, z dziwnie błyszczącemi oczyma, zgarbiony, jak pod nadmiernym ciężarem. Nie chciał nam powiedzieć co mu jest, co się stało. Przez sen w nocy jęczał chwilami, czasem znów w dzień, gdy myślał, że nikt na niego nie patrzy, jakiś straszny ból wykrzywiał mu twarz, oczy zachodziły mu łzami, zacinał mocno zęby, żeby nie jęknąć. Do pracy chodził wytrwale. Nie chciał opuścić ani jednego dnia. Przez całe lato pracował.

„I tak co ma być to będzie — mówił — lepiej mi jak pracuję. Człek wtedy nie ma czasu na głupie rozmyślania. Dokąd mogę chodzić to nie będę się kładł do łóżka i robił żywego trupa". Po dwóch miesiącach musiał iść do szpitala. Po operacji powiedział lekarz: „Moja panienko — przecież mówiłem „siostrze" by powiedziała rodzinie jaki jest stan tego chorego. Szpital nie może za nic odpowiadać. Właściwie to ja nie operowałem ojca pani, bo już nie było co operować. Rak zajął żołądek, jelita i pęcherz. Ratunku żadnego niema. Grubo spóźnił się z leczeniem. Teraz już niema w nim kawałka zdrowego ciała. Musicie się przygotować na rychły koniec". Nie miałam siły dalej słuchać.

Rozpacz po śmierci ojca doprowadziła matkę do obłędu. Na zmianę płakała i śmiała się do siebie. O niczem nie była zdolna myśleć, nic poradzić, nic pomóc. Widząc nienormalny stan matki, musiałam sama zająć się pogrzebem, w torebce znalazłam zł. 1,25 groszy. Cóż pocznę? To wszystkie nasze pieniądze na pogrzeb, na długi zaciągnięte podczas choroby ojca i wreszcie dla nas sierot na życie. Matka odrzuciła woreczek na stół: „Pochowaj go, kiedy poszedł, pochowaj! Masz aż złoty 25, jeszcze ci mało. Pochowaj go! Ja się na niego gniewam! Poszedł, niech idzie. A co mnie do pogrzebu? Nie mam pieniędzy! Idź do ludzi, dadzą ci, dadzą"! Powtarzała tak wkółko, nieprzytomnie, bezmyślnie. Zebrałam wszystkie swoje nędzne siły i wyruszyłam po pożyczkę do kuzynów i znajomych. Na bezowocnych kołataniach do ludzkich serc przeszły dwa dni. Wreszcie udałam się do przełożonej. Ta mnie nie zawiodła. Piątego dnia po śmierci ziemia na Brudnie przykryła drogie zwłoki nazawsze.

W domu pustka i rozpacz. Przy zimnej, od tygodnia nierozpalanej kuchni szloch pięciorga maleństw osieroconych; na łóżku koło okna zgięta we dwoje, skamląca, półprzytomna biedna nasza matka. „Nie przyjdzie, nie przyjdzie..." wkółko powtarza, płacze, czasem uśmiecha się, zakłada na głowę siwiejącą czarną postrzępioną wełnianą chustę, przytula do piersi pozostałe robocze ubranie ojca. Noce! Najgorsza nasza męka. Matka zrywa się z łóżka, chce wyskoczyć oknem, potem koniecznie chce otworzyć drzwi, bo za niemi stoi ojciec zmarzły, zimny i czeka, aż ona go wpuści do domu... Strach przechodzi po izbie. Żadne z nas nie może zmrużyć oka. Potem ogarnia ją szał, szuka noża, tasaka, siekiery, nafty — „Niech się wszystko skończy nareszcie. Poco żyć, tak będzie lepiej. Pozabijam was wszystkich moje biedne sieroty — krzyczy i uśmiecha się. Nikt się o tem nie dowie. Mam naftę to podpalę tę ruderę. Pójdziemy wszyscy razem do niego". Z wielkim trudem udaje mi się ją uspokoić. Tak nas zastaje jeden, potem drugi i dziesiąty świt. Do szkoły nie chodzę. Boję się odejść z domu na chwilę, by małym nie stała się krzywda. Żyjemy z tego, co przysłała przełożona. Wreszcie oprzytomniałam. Tak być dalej nie może. Poczyniłam starania, dostałam odszkodowanie z magistratu za ojca. Spłaciłam długi. Matkę oddałam do szpitala. A co teraz? Nie chciałam myśleć o skończeniu tylko pięciu klas. Postanowiłam, ucząc się, zarabiać korepetycjami. Miałam osiem korepetycyj. Ułożyłam nasze życie tak, bym mogła chować dzieci, zarabiać i uczyć się dalej. Od 8 do 2-ej po południu byłam w szkole, od 3-ej do 11-ej wieczór uczyłam dzieci na różnych krańcach miasta, od 11-ej do późnej nocy przygotowywałam lekcje na dzień następny. Między jedną a drugą korepetycją starałam się wpaść na chwil parę do domu, coś zarządzić, sprawdzić co robią dzieci. Wieczorami spisywałam na kartce nasze skromne, nędzne wydatki, obliczałam grosze, oglądałam buty i bieliznę małych. Do szkoły jednak chodziłam wytrwale.

Tymczasem matka zaczęła przychodzić do siebie.

(dok. nast.)

Czesława Kamińska.

DUCH I WOLA CHŁOPÓW

Doniosłem i płodnem w następstwa wydarzeniem społeczno-politycznem dni ubiegłych stała się wielka manifestacja chłopska w Nowosielcach pod Przeworskiem. W dniu „Święta Morza", gdy w miastach ciągnęły barwne pochody i odbywały się liczne akademje, wieś otwarła nowy okres aktywizmu polskiej rzeszy ludowej potężną uroczystością, w której w podziwu godnej, zdyscyplinowanej formie organizacyjnej skupiła 150 tysięcy chłopów-ludowców i dała przytem dobitny wyraz swym nastrojom i dążeniom. Przebieg manifestacji był imponujący.

Na dzień 29 czerwca wyznaczył poświęcenie usypanego przez mieszkańców Nowosielec i okolicy kopca ku czci bohaterskiego z przed lat 300 wójta Pyrza komitet organizacyjny, ktrógo skład w przeważającej liczbie tworzyli czynni członkowie stronnictwa ludowego. Komitet zaprosił na uroczystość generalnego inspektora sił zbrojnych, gen. Rydza-Śmigłego, a równocześnie wezwał do masowego uczestnictwa chłopów-ludowców z powiatu przeworskiego i sąsiednich tudzież delegacje chłopskie z całej Polski.

Generalny inspektor zdecydował się osobiście wziąć udział w uroczystości i zarządził również udział w tejże licznych oddziałów wojskowych wszystkich broni.

Komitet miejscowy pracował sprawnie; skoro jednak okazało się że chłopi-ludowcy z całej Polski gotują się do licznego zjazdu w Nowosielcach, a organizujący się masowy napływ chłopów z okolicznych powiatów zapowiadał zgromadzenie dziesiątków tysięcy ludu przeto zarząd stronnictwa ludowego na Małopolskę przejął w swe ręce dalszą organizację uroczystości z rąk miejscowego komitetu. Co więcej, uważając się za gospodarza i organizatora tego święta chłopskiego, postanowił z momentu tego skorzystać w celu szczerego i bezpośredniego przedstawienia naczelnemu wodzowi istotnych przekonań i dążeń, ożywiających wieś chłopską.

Aby zaś nie było wątpliwości kto i w jakiej liczbie reprezentuje stronnictwo ludowe, aby dla celów ubocznych nie zmącono obrazu manifestacji nowosieleckiej, organizatorzy zarządzili zbiórkę zgromadzonych nie w Nowosielcach, ale w sąsiedniej wsi Grząsce.

Tam właśnie dążyły dzień i noc tysiączne gromady chłopskie z całego kraju, głównie zaś ze środkowej części Małopolski. Rzecz to była nowa i ogromnej wagi! Masy chłopskie wystąpiły jako żywioł zorganizowany karny i dojrzały. 150-tysięczna rzesza chłopska poruszała się sprawnie, kierowana w sposób zdumiewający bez technicznych środków łączności, bez tak zwykłego przy wielu mniejszych uroczystościach oficjalnych wielkiego aparatu organizacyjnego. Trze-

ba zatem przyjąć inny czynnik, który wpłynął na imponujący organizacyjnie przebieg manifestacji; tym zaś był i musiał być „duch i zbiorowa wola", mas chłopskich dojrzała w pełni do czynnego wystąpienia na arenie odpowiedzialności za państwo.

O godz. 8 rano w dniu uroczystości (zastępy chłopskie nocą dokonały zbiórki) przemawiali we wsi Grząsce członkowie zarządu stronnictwa ludowego Małopolski do zgromadzonych, którzy jednocześnie i z głębokiem przejęciem uchwalili „rezolucję". Rezolucja ta została następnie wręczona obecnemu zwierzchnikowi armji, jako akt wiary i przeświadczenia mas chłopskich, wyraz ich aktualnych dążeń politycznych, które nie obejmują oczywiście całości wielkiego programu Polski Ludowej, sformułowanego na ostatnim kongresie stronnictwa ludowego.

Nowosielce zatem — to pierwszy etap wielkiego pochodu. Z treści wręczonej generałowi Rydzowi - Śmigłemu rezolucji wynika, iż manifestacja nowosielecka nie była oficjalnem i centralnem wystąpieniem całej rzeszy chłopskiej; nie objęła też ona całokształtu dążeń chłopów polskich. Było to jedynie masowe poważne wystąpienie przeciw upośledzeniu rzeszy chłopskiej w życiu społeczno-politycznem kraju.

Manifestanci nowosieleccy przyjmują, jako pierwszy etap realizacji swych dążeń, polityczny postulat „przywrócenia szerokim masom ludowym praw, odebranych im przez obecny system rządzenia". Ogromny kompleks spraw społeczno-gospodarczych postanowili odroczyć na etap następny, gdy lud uzyska możność w odpowiedniem tempie i w sharmonizowanym wysiłku realizować tę podstawową część swego programu, o którą walczą „agraryści" chłopscy „wiciarze i zniczowcy", tworzący dziś przednią kolumnę młodego chłopskiego pokolenia.

I jest to rzecz zrozumiała. Młode pokolenie chłopskie dąży do podźwignięcia kraju z niedoli w drodze poważnej i głębokiej reformy, t. j. w drodze zdemokratyzowania gospodarki społecznej. Będzie ono walczyć z całą siłą i odwagą swej młodości i wielkiej idei o swój program i wystąpi czynnie w odpowiedniej chwili na arenę. Na uroczystości w Nowosielcach stanęli młodzi „wiciowcy" wespół z „ojcami", aby przedstawić normy polityczne, niezbędne do wyrwania masy chłopskiej z więzów upośledzenia.

Treść deklaracji politycznej, wręczonej przez zarząd stronnictwa ludowego na Małopolskę — naczelnemu wodzowi znana jest z prasy codziennej i mówi sama za siebie. Deklaracja domaga się i oczekuje spełnienia dalekoidących żądań, jak amnestjowania emigrantów politycznych z Witosem na czele, zmiany konstytucji i ordynacji wyborczej a także rozpisania nowych wyborów do sejmu i senatu.

Chłopi ogłosili całej Polsce, iż biorą na siebie pełną odpowiedzialność za obronę państwa, za jego niepodległość. Ofiarują uroczyście Polsce swą krew i swe życie. To właśnie daje im pełne prawo do żądania, aby kształtowanie losów państwa przeszło w ręce ludu pracującego.

Ludowy.

SZLAKIEM WOLNEJ MYŚLI

W dniach 28 i 29 czerwca b. r. odbył się w lokalu przy ulicy Królewskiej Nr. 16 Zjazd Delegatów Polskiego Związku Myśli Wolnej. Od paru lat już śledzę prace tego związku z coraz rosnącem zainteresowaniem. Pamiętam, kiedy kilka lat temu zostałam po raz pierwszy zaproszona tam na odczyt przez nieodżałowanej pamięci Dawida Jabłońskiego, sala wydała mi się bardzo trudna. Prelegent ma przecież zawsze wyczucie publiczności, do której przemawia, a ta publiczność była silnie zróżniczkowana, ostra, nieoczekiwana w reakcji, męcząca. Dzisiaj wiele się tam zmieniło, nawet z tem zastrzeżeniem, że zjazd delegatów to ludzie bardzo starannie przesiani. Są giętsi, bardziej wyrobieni, bardziej komunikatywni. Ogólny poziom doskonały, wprost nadspodziewanie dobry.

Solą tych dwóch dni były sprawozdania delegatów kół prowincjonalnych, których Związek liczy sobie w obecnej chwili dwadzieścia. Byli to w wielkiej części robotnicy, bo też i koła składają się prawie z samych robotników, jak naprzykład koło Lwowskie, które na 377 członków ma zaledwie 5 inteligentów.

Wszystkie djalekty naszego państwa przesuwają się na estradzie, jak na taśmie talkiesu. Twarda mowa naszych kresów zachodnich i wschodnie śpiewanie przeplatają się malowniczo, jeżeli mową się maluje. Regjonalne wyrażenia, lokalne dowcipki, aluzje do prowincjonalnych wydarzeń i wielkich na tamtych terenach osób tworzą całość zupełnie niezwykłą dla ucha. Jest też kilkanaście kobiet delegatek, które zresztą przeważnie suflują z krzeseł.

Jak dalece bywają rozzuchwalone prowincjonalne kacyki, to przechodzi często najśmielszą wyobraźnię. To oczywiście nie Nerony, ale chyba Djoklecjany w małym, kieszonkowym formacie. Podam parę przykładów. W pewnem małem miasteczku jest odczyt wolnomyślicielski. Na salę wkracza policja i sprawdza legitymacje związkowe ponieważ trzech słuchaczy ich niema, odczyt zostaje zerwany, a publiczność rozpędzona. Na rozprawie sądowej prezes koła dostaje trzy miesiące więzienia, i sprawa przechodzi przez wiele instancyj, zanim udaje się udowodnić, że jednym z niefortunnych słuchaczy był właściciel lokalu, a dwaj pozostali, to członkowie związku, którzy poprostu legitymacji zapomnieli. Inna sprawa, tak zwana „sprawa otwartego okna". Oto miejscowa władza przestrzega pilnie, żeby odczyty odbywały się przy drzwiach zamkniętych i żeby nikt z niepowołanych nie mógł się dostać na salę. Ale jest lato, gorąco, duszno, prelegentowi pot spływa z czoła, trzeba otworzyć okno. Pod oknem staje jakiś przypadkowy, może i zasłuchany, ponieważ to parter, przechodzień. I znowu, jak wyżej, wkracza policja, odczyt zerwany, członkowie rozchodzą się do domów, sprawa sądowa, wyrok, etc. Nie wolno otwierać okien!

Entuzjazm i oburzenie zrobiło z tych delegatów najlepszych aktorów, zebrani nie mogą się ich nasłuchać, nie dają im zejść z mównicy, zarzucają pytaniami. W prostych, niewyszukanych słowach opowiadają nam dalej dzieje swojego życia, walkę na każdym kroku, bo już naprawdę od urodzenia aż do grobu. Rejestracja nowonarodzonego, śluby cywilne, poważne ceremonje pogrzebowe, w których nierzadko bierze udział połowa miasteczkowej ludności! A czasem znów jakiś księżulo-kawalarz przetrzymuje kilka dni rodzinę i delegatów, żeby potem pogrzebać delikwenta cichcem o piątej rano, zato z całą pompą kościelną, biciem w dzwony, i śpiewem bractwa, które niesie zapalone świece! Albo rabin, który targuje się do upadłego o cenę cmentarnej ziemi! Słowem różne takie wesołe kawałki z życia prowincji, że nie wspomnę o innych, groźniejszych jeszcze sprawach, o których też była mowa.

A potem zobrazowanie dnia codziennego wśród ciągłych ataków kleru i nierzadko prawdziwych napadów rozwydrzonej i ogłupionej do ostatka ludności. Długotrwałe walki o lokal, chodzenia od związku do związku, i od gospodarza do gospodarza, brak środków na komorne, niemożność znalezienia prelegentów

i książek przy ostrym głodzie wiedzy. I wreszcie trudności przezwyciężone, lokal znaleziony, zdobyte parę groszy na jego utrzymanie — a jak się zdobywa tę parę groszy, niech świadczy fakt, że rozmawiałam z delegatem, który formalnie się głodził, żeby tylko przywieźć spowrotem otrzymane od związku strawne, chociaż to strawne wyniosło na dwa dni i trzy osoby dziesięć złotych. Pokazał mi te dziesięć złotych, a jakże, błysnął mi niemi w oczy! Więc do tego z takim trudem zdobytego lokalu zaczynają się teraz schodzić członkowie, żeby poczytać i porozmawiać. A pysznie, zamożnie wyglądają ci członkowie: nierzadko bezrobotni, którzy w lodowate, deszczowe dni naciągają zniszczone palto na gołe ciało.

Tak walczy prowincja o wolność myśli.

Zjazd uchwalił cały szereg wniosków natury ogólnej tyczących się stosunku do mniejszości narodowych, do ekscesów antyżydowskich, do ograniczenia wolności przekonań, a zebrani zdawali sobie jasno sprawę, że było to raczej zajęcie stanowiska, niż żeby mieć mogło wielkie konkretne znaczenie. I tu znowu rzecz charakterystyczna: nie zauważyłam bynajmniej u delegatów robotniczych demagogji, chęci wyżycia się w szumnych i łatwych hasłach, wykrzyczenia się. Jeżeli wzięli udział w zjeździe, to dla ściśle określonych, konkretnych celów, dla dopomożenia sobie i swoim braciom, dla walki, dla lepszego zorganizowania życia w imię swojej słuszności. Z żalem trzeba przyznać, że mętne, niesprecyzowane, krzykliwe hasła były raczej wygłaszane przez owych inteligentów, na których brak wśród swoich organizacyj tak się pracownicy fizyczni uskarżali. Zresztą, nie cytując nazwisk, wiemy przecież dobrze, jacy to ludzie i w jakich celach operują owemi szumnemi hasłami, które mają na celu z jednej strony zdyskredytować tych, którzy spokojnie i poważnie chcą pracować w związkach, z drugiej strony zaciemnić przed nimi cel, do którego dążą i niemożliwemi uczynić owe pierwsze kroki realizacyjne, do których nie przestaniemy nawoływać. Na wszystkich zjazdach spotykamy się z tą samą zawsze grupą ludzi, i żeby ich posłuchać, wszystkie zjazdy rozwiązywałyby się zawsze na tych samych mętnych okrzykach, pozbawionych wszelkiej wewnętrznej treści.

Na szczęście, zebrani, uczyniwszy zadość starej, zjazdowej tradycji, uchwalili też cały szereg posunięć czysto praktycznych, zmierzających do uzyskania ksiąg stanu cywilnego, współdziałania z organizacjami, które realizują program szkoły świeckiej i laicyzację obyczaju, podjęcie starań o kremację zwłok, intensywną propagandę wśród młodzieży, a wiele wniosków złożonych przez delegatów Warszawy czy prowincji uderzało wprost świeżością i zdolnością do życia. Niezmiernie ciekawa dyskusja nad temi wnioskami i obszerniejsze sprzeczki o gminę bezwyznaniową wniosły dużo nowego i oświetliły wiele spraw z zupełnie dotąd niezauważonej strony.

Zjazd zakończył się w poniedziałek wieczorem, przyniósłszy wiele nowego materjału, i świadomość głębokiej solidarności.

Wanda Melcer.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

GENEWA W CZARNYM I BRUNATNYM CIENIU

Dnia 4 lipca XVI Zgromadzenie Ligi Narodów uchwaliło 44 głosami przeciw 1 przy 4 wstrzymujących się wezwanie do zakończenia stosowania sankcji przeciw Włochom. Natychmiast po tej uchwale Komitet Koordynacyjny w wykonaniu wezwania powziął decyzje o zawieszeniu sankcji, które zastosowano przeciw Włochom jako napastnikowi w obronie napadniętej Abisynji. W ten sposób formalnie tragedja abisyńska schodzi na razie z porządku dziennego Ligi Narodów, zostawiając organizację pokoju międzynarodowego w stanie najgłębszego przesilenia, na rozdrożu, na krawędzi przepaści, a jak niektórzy nawet sądzą, biorąc swoje życzenia za rzeczywistość, po prostu w stanie likwidacji.

Na ostatnim akcie tragedji abisyńskiej w Europie (w Afryce tragedja ta jeszcze nie jest zakończona) trzeba zatrzymać dłużej uwagę. Nawet zacięty przeciwnik Ligi Narodów i przyjaciel wszelakiego faszyzmu, redaktor „Słowa" p. Mackiewicz tym razem w odróżnieniu od wielu swoich przyjaciół politycznych, w sposób wnikliwy i godny oświetlił ten moment dziejów, przypominając czasy 1795 r., kiedy usunięto z mapy politycznej świata niepodległe państwo polskie. Nie bronił go na forum międzynarodowem ostatni król Rzplitej, przeciwnie przykładał pieczęć swego majestatu do zbrodni popełnionej przez państwa zaborcze. Abisynja znalazła w osobie swego cesarza Haile Selassiego, obrońcę, którego mowa wygłoszona wobec przedstawicieli 52 państw świata sprawiła wrażenie wstrząsające. Był to wielki akt oskarżenia przeciw wszystkim, którzy papierowemi źle wykonywanemi uchwałami podniecali Abisynję do obrony, nie dając jej żadnego realnego poparcia, a jednocześnie było to dokładne i przejrzyste wytłomaczenie przebiegu wojny, w której zwyciężyła nie tyle technika, ile okrucieństwo, znajdujące wyraz w stosowaniu gazu — iperytu i to w sposób zupełnie wyjątkowy, uniemożliwiający wszelką obronę.

„Błagam Wszechmocnego Boga — mówił na wstępie cesarz Haile Selassie— aby uchronił narody od strasznej męczarni, którą zadano mojemu narodowi... Jest moim obowiązkiem powiedzieć rządom zgromadzonym w Genewie, a odpowiedzialnym za życie miljonów mężczyzn, kobiet i dzieci o śmiertelnem niebezpieczeństwie, które im grozi, uczynię to przez opis losu, który spotkał Abisynję. Nie tylko z wojownikami prowadził rząd włoski wojnę. Przedewszystkiem atakował on ludność znajdującą się zdala od pola walki, aby ją steroryzować i zniszczyć".

Początkowo w 1935 r. lotnicy włoscy używali gazów łzawiących, jak mówi cesarz, skutek tego był nieznaczny, później poczęli zrzucać baryłki z płynnym iperytem na grupy żołnierzy, wyniki tego były również nieznaczne i oto w chwili, gdy armje abisyńskie docierały z powrotem do Makalle, opasując je pierścieniem, dowództwo włoskie w obawie klęski zastosowało metodę, którą Negus podaje do wiadomości całego świata.

Na samolotach umieszczono specjalne aparaty rozpylające iperyt na ogromnych przestrzeniach w postaci gęstej a morderczej mgły. Eskadry złożone z 9, 15, lub 18 samolotów z takiemi rozpylaczami stwarzały prześcieradło mgły, rozpostartej w powietrzu. Od stycznia 1936 r. taką mgłą polewani byli żołnierze abisyńscy, kobiety, dzieci, trzoda, jeziora, pola uprawne. Aby morderstwo masowe dokonać, systematycznie zatruwano wody i roślinność, wysyłając do tych samych obszarów samoloty kilkakrotnie".

„Z trującą mgłą walczyć nie mogliśmy, nie mamy przeciw niej żadnej broni" — zakończył swoją tragiczną opowieść władzca Abisynji na trybunie Ligi Narodów.

Wstrząsnął swoją opowieścią słuchaczów i czytelników, ale nie wpłynął na decyzję polityków i dyplomatów, którzy już dawno zdecydowali, że na wojnę o niepodległość Abisynji żaden naród nie pójdzie.

Na tle prostych i rozpaczliwych słów

Heile Selassiego, który pytał, a więc gdzie jest pakt, gdzie płynące z niego zobowiązania, gdzie bezpieczeństwo zbiorowe, odbiła się tem brutalnej karczemna awantura urządzona przez dziennikarzy faszystowskich, którzy usiłowali piszczałkami i krzykiem zaprotestować przeciw zjawieniu się na trybunie oskarżyciela.

„W imieniu sprawiedliwości proszę o zmuszenie tych dzikusów do milczenia" — zawołał wówczas delegat rumuński min. Titulescu i przewodniczący Van Zeeland zarządził sprowadzenie policji szwajcarskiej, która awanturników usunęła z sali. Gmach Ligi Narodów został dla dziennikarzy faszystowskich zamknięty w przededniu nieomal chwili, w której delegacja Italji ma do tego gmachu powrócić.

Ten charakterystyczny incydent wymaga jeszcze jednego ciekawego uzupełnienia. Prezydjum Stowarzyszenia dziennikarzy akredytowanych przy Lidze Narodów wyraziło potępienie dla zachowania się dziennikarzy włoskich i współczucie cesarzowi. Z powodu tej uchwały ogłoszonej w prasie przewodniczący stowarzyszenia Robert Dell otrzyma następujące pismo: „W oświadczeniu złożonem z powodu incydentu, który zaszedł na trybunie prasowej, zapomniał pan powiedzieć, że był on wywołany przez dziennikarzy faszystów włoskich. Jestem pewien, że zwracając uwagę na to daję wyraz uczuciom kilkudziesięciu dziennikarzy włoskich najrozmaitszych przekonań politycznych, którzy woleli wygnanie, a często i nędzę od sytuacji, nie dającej się pogodzić z godnością naszego zawodu". List ten podpisał korespondent brukselskiej gazety „Dernière Heure", red. A. Zanetti — Włoch.

Zgromadzenie genewskie spieszyło się, aby nieszczęsną sprawę abisyńską prędko uprzątnąć ze swego stołu, zachowując pewne pozory, jako to dopuszczenie delegacji abisyńskiej jako legalnej reprezentacji i nie dyskutowano o uznaniu aneksji Abisynji. To ostatnie zagadnienie ma wrócić pod obrady we wrześniu. Zachodzi teraz pytanie, czy Musoliniemu wystarczy ofiara złożona przez Ligę Narodów w postaci zaiperytowanej Abisynji, czy nie będzie domagał się teraz wykreślenia Abisynji z listy członków Ligi i uznania aneksji. Gdyby tak być miało pośpiech lipcowych obrad i oportunizm uchwał okazałyby się bezskuteczne. Działano przecież tak dlatego, że powrót Italji do polityki europejskiej wydaje się wszystkim nieodzowny. Ponury cień drugiego gwałciciela pokoju w osobie III-ej Rzeszy tak wyraźnie zarysował się ostatnio nad Lemanem, że, doprawdy, trudno dziwić się dyplomatom i politykom, że szukają od tego brunatnego cienia ratunku przy czarnej koszuli Mussolini'ego. Narazie niebezpieczne plany niemieckie ujrzała Genewa w postaci groteskowej postaci... języka p. Greisera — prezydenta senatu gdańskiego, który przybył z Gdańska via Berlin samolotem, aby wykonać jak powiedział, „pierwszy szturm".Wyczyn p. Greisera stanowi stosowną analogję do zachowania się dziennikarzy faszystowskich. W tych wybrykach odbija się kultura, którą niosą ze sobą do świata ustroje oparte na pognębieniu prawa i wolności.

Politycy i dyplomaci mają ciężkie zadanie, chcąc ratować świat od Hitlera przez Mussolini'ego, lub odwrotnie. Te sposoby ratunku zawodzą, a politykę na nich opartą prowadzą do takich klęsk moralnych, jak zniesienie sankcji i oddanie Abisynji na pastwę Mussoliniemu.

Nie należy jednak wpadać w pesymizm ostateczny: Liga Narodów pomimo tej klęski nie jest pogrzebana, a jak niedawno przyjmując kandydaturę na prezydenta z rąk kongresu, stronnictwa demokratycznego w Filadelfji powiedział Roosevelt: walka o demokrację toczy się na całym świecie i zwycięstwo jej jest zapewnione.

C. D.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

WYMOWA CYFR.

„The Manchester Guardian" dn. 3-go lipca 1936 r. publikuje ciekawe fakty, dotyczące pokrycia przez rząd włoski kosztów „wojny abisyńskiej i instalacji nowego regime'u we Wschodniej Afryce".

Powołując się na sprawozdania tegoż rządu, cytuje odnośną statystykę:

	Sumy ściągnięte z ludności w milj. lirów
Przed 1 lipca 1935 r.	975
Od 1 lipca—30 grudnia 1935 r.	4.500
„ 1 stcz.—30 marca 1936 r.	3.120
Koniec kwietnia 1936 r.	1.140
„ maja „	2.045
„ czerwca „	1.300
Razem	13.080

W celu osiągnięcia tych sum, rząd włoski uciekł się do środka „pożyczki rekonwersyjnej". Polega ona na tem, by posiadaczom bonów, którzy w r. 1934 przyjęli konwersję z 5 na 3½%, przywrócić 5% z warunkiem, żeby za każde tak rekonwertowane 100 lirów płacili 15 lirów gotówką.

Całość pożyczki, konwertowanej z 5 na 3½% wynosiła w r. 1934 60 miljardów lirów. (pożyczka była również otwarta na subskrypcje gotówkowe).

W ten sposób, gdyby pożyczka była rekonwertowana w całości, rząd zyskałby 9 miljardów.

Szczegóły, odnoszące się do sum tą drogą osiągniętych, nie zostały ogłoszone — lecz fachowcy twierdzą, że wyniosły od 4 — 5 miljardów na tę wielką pożyczkę wojenną.

Fundusz wojenny dopełniono przez wypuszczenie 5% bonów skarbowych.

Tą drogą rząd zdobył siłę nabywczą na obcych rynkach, ***kosztem wewnętrznej siły nabywczej.***

Wielu fachowców utrzymuje, że liczba **bonów** sięgnęła 2 miljardów!

„Manchester Guardian" ocenia dalej, że rząd włoski będzie musiał wydać w ramach „nadzwyczajnego" budżetu (wschodnio-afrykańskiego) przeszło dwa razy tyle, niż osiągnięto temi środkami.

WSZĘDZIE JEDNACY.

„L'Europe Centrale" przytacza ciekawe fakty z procesu „o zdradę stanu" węgierskich faszystów, w artykule Raoula Chélard p. t.: „Osobliwy proces o zdradę stanu na Węgrzech".

Wszyscy oskarżeni, w liczbie 205, należeli do uzbrojonych szturmówek. „Wodzem" organizacji był Böszörmenyi.

Oskarżeni są ludźmi młodymi, w wieku 20 — 25 lat.

Są sądzeni w dwóch grupach: 92 — w Pécs, 113 — w Békés. Grupa sądzona w Békés miała urządzić masakrę Żydów w promieniu 10 mil, zabrać im pieniądze, a potem obozować „masowo" między Erdöd i Gyoma przed marszem na Budapeszt.

Dn. 20 sierpnia (święto narodowe) miano sprowokować zamieszki i porwać Horthy'ego, a na jego miejscu zainstalować Böszörményi'ego.

Organizacja miała charakter ściśle hitlerowski. Ażeby wstąpić, trzeba było złożyć przysięgę na „Istena, boga Madziarów": „Jestem gotów oddać me życie dla wodza naczelnego, jedynego przewodnika narodu madziarskiego".

MOTYWY REPRESJI.

Zarząd powiatowy Stronnictwa Narodowego w Krakowie otrzymał od Starostwa powiatowego następujące pismo:

„Zawieszam działalność i równocześnie rozwiązuję Powiatowy Zarząd Stron

nictwa Narodowego na powiat krakowski z siedzibą w Krakowie, ponieważ działalność Pow. Zarz. zagraża bezpieczeństwu, spokojowi i porządkowi publicznemu. Przez metody swej działalności Powiatowy Zarząd Stronnictwa Narodowego zatracił bowiem charakter organizacji politycznej i przeistoczył się w organizację, która nie znajdzie miejsca w ramach obowiązujących przepisów prawa, a więc nie odpowiada warunkom swego prawnego istnienia.

W szczególności działalność Powiatowego Zarządu na terenie powiatu krakowskiego zagraża bezpieczeństwu publicznemu i jest przeciwną dobru powszechnemu z powodu: a) uprawiania bezkrytycznej demagogji wśród dotkniętych kryzysem gospodarczym mas ludności, oraz podburzaniach do czynnych wystąpień przeciw władzom państwowym i ich organom wykonawczym. — b) wywoływania antagonizmu i walk narodowościowych, religijnych i rasowych pomiędzy obywatelami państwa. — c) szerzenie pogłosek, wywołujących demoralizowanie młodzieży przez defetyzm i niepokój publiczny — d) wychowywanie jej w atmosferze kultu dla akcji przestępczej i nieposzanowania prawa.

Stwierdzono w szczególności, że działalność Powiatowego Zarządu przejawiła się w ostatnich czasach w kierunku podburzania członków przeciw ludności żydowskiej, a następstwem tego podburzania były wypadki wybijania szyb w mieszkaniach i sklepach żydowskich w szeregu miejscowościach powiatu krakowskiego oraz zajścia w Liszkach w dniu 23-go marca 1936, uszkodzenie linji telefonicznej Liszki — Kraków, napad na miejscowy żydowski dom modlitwy, napad na dom i sklep miejscowego kupca połączony z rabunkiem, a w końcu napad rabunkowy w dniu 23 czerwca 1936 roku na Posterunek P. P. i mieszkanie prywatne Starosty powiatowego w Myślenicach, uszkodzenie linji telefonicznej Myślenice — Kraków, w końcu napad rabunkowy na sklepy żydowskie w Myślenicach, czego dokonali w przeważnej części członkowie Stronnictwa Narodowego, pochodzący z szeregu miejscowości na terenie powiatu Krakowskiego. Sprawcy czynów, między którymi znajdują się także członkowie Powiatowego Zarządu Stronnictwa Narodowego pociągnięci zostali do odpowiedzialności sądowo - karnej i za powyższe czyny przestępcze".

„AMNESTJA"...

Agencja PRESS donosi z Włoch: Na mocy dekretu amnestyjnego zwolnionych zostało z więzienia około 450 spekulantów towarowych i walutowych, aresztowanych w okresie wojny z Abisynją.

Wśród zwolnionych na mocy amnestji znajdują się również uwięzieni pod zarzutem przemytu zagranicznego. Amnestja nie objęła natomiast przestępstw politycznych. Wszyscy aresztowani w okresie wojny, pod zarzutem nieprawomyślności politycznej, trzymani są nadal w więzieniu.

PYTANIA, NIE WYMAGAJĄCE ODPOWIEDZI

List papieski do uczestników akademickiej pielgrzymki na Jasną Górę zalecał „samym sposobem pobożnego życia skutecznie pociągać umysły, słodyczą i skromnością, powagą i uprzejmością zadzierzgając węzły przyjaźni tak, jak z właściwą szatą cnoty łączy się niepokalana skromność, łagodność i słodycz".

Nawiązując do tego zalecenia Henryk Dembiński stawia na łamach *Karty* szereg pytań:

„Czyżby więc tęsknota do pobożnego życia opanowała bojówki endeckie, że otrzymawszy z rąk Papieża odpust całkowity, przysięgły one nigdy już nie grzeszyć, nie szczuć przeciwko straganom biedoty żydowskiej, nie ujawniać swej „niepokalanej łagodności i słodyczy" w ten sposób, jak to się robiło w Przytyku, Zagórzowie czy w innych małych miasteczkach, nie bić bezbronnych i w mniejszości będących studentów Żydów, nie kaleczyć ich żyletkami, nie napadać z kijami i kamieniami na pochody lub zebrania robotnicze, nie być łamistrajkami, nie okłamywać ludu solidarnością ogólnonarodową i nie przesłaniać nią wyzysku polskiego kapitalisty i obszarnika?"

A może „ta młodzież zebrana przed obliczem Matki Boskiej modliła się publicznie o pokój międzynarodowy i braterstwo ludów"?...

Oto pytania, które nie wymagają odpowiedzi.

JEDNA Z WIELU...

23-letnia Halina Włożańska, studentka drugiego roku prawa Uniwersytetu J. Piłsudskiego napisała przed samobójstwem list treści następującej:

„Popełniam samobójstwo, gdyż nie mogę dłużej walczyć. Jak większość dzisiejszej młodzieży, jestem widać niepotrzebna. Niema miejsca dla mnie.

Państwo domaga się stale nowych obywateli, szczyci się przyrostem ludności. Zapewne u nas w Polsce najpotrzebniejsze są niemowlęta i dzieci. Jednostek dorosłych wykształconych i przygotowanych do życia państwu nie trzeba.

Nie jest mi lekko umrzeć. Boję się śmierci, ale nie mam już sił.

Robiłam wszystko, co było w mojej mocy, aby stworzyć sobie i zdobyć znośne warunki jakiejkolwiek egzystencji.

Chwytałam się każdej uczciwej pracy. Wielu panom na stanowiskach, którzy mogliby pomóc mi, znane jest moje nazwisko. Ale poco oni mieli zadawać sobie najmniejszy choćby trud dla wynalezienia dla mnie pracy? Oni woleli podziwiać moją energję i spryt, że potrafiłam dotrzeć do nich, bezradnie rozłożyć ręce na moje prośby i... odprawić z kwitkiem.

Moja egzystencja dziś wisi na włosku. Ja nic na to poradzić nie mogę, to jest straszne, mimo że jestem zdrowa, młoda, energiczna i dość wykształcona.

Ostatnia moja prośba: jeśli dawka trucizny jest zbyt mała, aby zabić mnie szybko, to błagam o zadanie mi śmierci. Boję się cierpień fizycznych, jestem przecież tylko człowiekiem".

LISTY DO „EPOKI"

Przeczytałam w „Epoce" słuszny protest przeciwko „magistrackiej krucjacie". Istotnie w Polsce wszyscy, co zachowali niezależność sądu i myśli powinni podnieść stanowisko „Epoki". Jest to tembardziej wskazane, że to, co dziś spotyka artystów we Lwowie za branie udziału w lewicowej akademji, jutro może spotkać muzyków, a pojutrze profesorów lub nauczycieli. Zresztą, gdzie, zapytać wolno, jest granica takiego postępowania i na kim skończyć się mogą rugi, jeżeli magistrat ten lub ów kieruje się takiemi kryterjami.

Jest to zagadnienie, którem należy się zająć w sposób bardziej wyczerpujący, ale nietylko na łamach pism. Podnieść je przedewszystkiem powinny związki zawodowe artystów scen polskich, a także związki literatów i wy-

jaśnić, czy wolno pozbawiać chleba ludzi za takie ich lub inne przekonania polityczne. Dziwić się tylko trzeba, że dotąd jest tak cicho wokół tej sprawy, co może świadczyć, iż nasze sumienie społeczne reaguje bardzo ospale na objawy krzyczącej niesprawiedliwości.

Warszawa. *Ludmiła Kowalska.*

KSIĄŻKI NADESŁANE

Rafał Praski: Walczmy o szkołę. Skł. Główny w Księg. T-wa Wydawniczego. Warszawa 1936.

Zbigniew Kasiński: Bez drogowskazu. Skł. Główny w Księg. Twa Wydawniczego. Warszawa 1936.

Czesław Ciepliński: Rzeczywistość. Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa. 1936.

Ilustrowana Encyklopedja Powszechna. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1936.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani W. W. w Warszawie: Powierzyliśmy już omówienie tej książki.

Panu Z. C. w Katowicach: Dziękujemy. Numery okazowe wysłaliśmy.

Panu Z. P. w Piotrkowie: Dziękujemy za pamięć. Numery wysłaliśmy.

Nauczycielce w Radomiu: Naturalnie, prosimy tylko zawiadomić o zmianie adresu.

Panu J. D. w Truskawcu: Obiegło już całą prasę codzienną. Nie możemy drukować.

Panu St. O. w Warszawie: Na to nie poradzimy: głupi zawsze znajdzie głupszego, który go podziwia.

Panu A. P. w Częstochowie. Dziękujemy. Numery okazowe bezzwłocznie wysłaliśmy.

Pani M. T. w Otwocku. Niema w tem nic śmiesznego, odpowiednio zareagowaliśmy. Ma Pani zupełną słuszność, wiele zależy też od przyjaciół pisma. Dziękujemy za pamięć.

Nauczycielowi z Wileńszczyzny. Poruszyliśmy tę sprawę w Nr. 2 Epoki. Wyślemy bezzwłocznie po otrzymaniu czytelnego adresu.

Pani M. O. w Warszawie. Kraków, Dunajewskiego 7. Wychodzi od czerwca b. r.

Od wydawnictwa

W ciągu czerwca, lipca i sierpnia 1936 roku „Epoka” ukazywać się będzie raz na dwa tygodnie, od września zaś r. b.—co tydzień.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA za czerwiec, lipiec i sierpień 1936 r. — zł. 3.—. Od września r. b. — kwartalnie zł. 6.—. Numer poj. 60 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 2847 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.